WTOREK
Nr 76 24 VIII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Fot. Jacek Łopuszyński

SKRZYDLATE PRZEDSZKOLE

Jeżeli Wyższą Oficerską Szkołę Wojsk Lotniczych nazywamy „Szkołą Orląt", to w stwierdzeniu, że Liceum Lotnicze jest Skrzydlatym „Przedszkolem" z całą pewnością nie ma błędu... Zresztą oceńcie to sami.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

97-letni młynarz wcale nie chce odpoczywać!

(PAP). Bywają młodzi „staruszkowie", ale również sędziwi „młodzieńcy", jak 97-letni młynarz z Żołyni na Rzeszowszczyźnie – pan Jan Szczerba. Będąc jeszcze młodym człowiekiem wybudował w swej wsi młyn wodny, którego doglądał przez długie lata.

Ostatnio młyn wodny z Żołyni stał się eksponatem muzealnym jako zabytkowy obiekt budownictwa ludowego i przekazany został do skansenu w Kolbuszowej. Jego właściciel – wyjątkowo rzeski i ruchliwy mimo niemal setki lat – wyraził zgodę na zrzeczenie się swych praw do młyna, pod warunkiem wszakże, że będzie mógł osobiście nadzorować jego ponowną „budowę" czy raczej montaż na terenie skansenu, nad brzegiem 6-hektarowego stawu. Staw ten został ostatnio oczyszczony, wyposażony w specjalną groblę. Wkrótce zostanie również zarybiony. **(kl)**

Ile jest lwów we Lwowie?

(PAP). Przed wielu wiekami miasto nazwano imieniem króla zwierząt. Lwów, bo o nim mowa, swoją nazwę zawdzięcza synowi założyciela grodu, kniazia Daniłła Galickiego – Lwu. Wizerunek lwa, króla zwierząt, stał się symbolem i ozdobą miasta.

Jak obliczają etnografowie i specjaliści innych dziedzin, w mieście „mieszka" ok. 6 tys. lwów. Są to głowy, rzeźby całej sylwetki, reliefy, polichromie i freski. Zwierzęta te ryczą, drzemią, przeciągają się, ziewają, a nawet uśmiechają się.

Najstarszego z nich – lwa, który znajdował się w średniowieczu na rynku – w centrum administracyjnym i handlowym, przeniesiono na wierzchołek wzgórza, skąd uważnie ogląda swoje miasto. **(kl)**

WAŻY TYLKO 8 KG – NAJMNIEJSZY MOTOCYKL ŚWIATA JUŻ „NA CHODZIE"

(PAP). Szwedzki student Thomas Polsson z Lundu skonstruował chyba najmniejszy na świecie motocykl. Napędu dostarcza silnik wykorzystywany w modelarstwie, o mocy 1 KM. Kółka wykonane są z plastiku, a całość – z aluminiowych rurek. Bak mieści litr benzyny. Długość motocykla wynosi zaledwie pół metra.

Na tej miniaturce jeździ z szybkością 20 km/godz. sam konstruktor, mający 186 cm wzrostu i ważący 83 kg... **(kl)**

Wakacje u sąsiadów

NRD (PAP). 800 dzieci warszawskich wraz z młodzieżą NRD wypoczywa podczas tegorocznych wakacji letnich na obozach, zorganizowanych przez berlińskie zakłady pracy, m.in. w centralnym obozie pionierów nad jeziorem Frauensee.

W ośrodkach wypoczynkowych i turystycznych NRD wakacje spędzają też dzieci z innych regionów naszego kraju, zaproszone przez okręgi NRD rozwijające współpracę z polskimi województwami.

M.in. 800 polskich dzieci gości okręg Frankfurt n/Odrą, a w ośrodkach okręgu Neubrandenburg wypoczywa 100 dzieci z zaprzyjaźnionego z tym okręgiem województwa pilskiego. 115 uczniów i uczennic z województwa kaliskiego przebywa na obozie pionierskim w okręgu Halle.

Ostatnio zaś wyjechała na 3-tygodniowe wakacje do Leubnitz (Turyngia) dziesiątka dzieci pracowników Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Dzieci wraz z opiekunką znającą biegle język niemiecki zostały zaproszone przez Wytwórnię Filmów Dokumentalnych „DEFA" w Berlinie

List z kolonii

WRÓCIMY WYPOCZĘCI I OPALENI, Z ZASOBEM NOWYCH PRZEŻYĆ I WIDOKÓW

Wypoczywamy na kolonii letniej w nadmorskiej miejscowości – Rumia. W tym pięknym, miłym i słonecznym miasteczku spędzamy swoje wakacje. Wspaniała pogoda i świetnie przyrządzane posiłki sprawiają, że mamy wilcze apetyty. Szczególnie nam dopisują, gdy wracamy z plaży, lub wycieczek. A tych było dużo: autokarowe do Gdańska, Władysławowa i na Westerplatte; pociągami do Gdyni, Sopotu i Wejherowa; statkiem na Hel.

Byliśmy w Muzeum Morskim i na „Błyskawicy" w Gdyni. Zwiedziliśmy piękne ZOO. Panoramę Gdańską podziwialiśmy z wysokiej wieży Ratusza Głównego. Urzeka nas piękno nadbałtyckich okolic, które chętnie zwiedzamy. Ze względu na wspaniałą pogodę większą część wolnego czasu spędzamy na plaży. Byliśmy też w kinie na filmach „Znachor" i „Dzieci wśród piratów". Oglądaliśmy sztukę w sopockim teatrze pt. „Pinokio". Powodzeniem cieszą się ogniska, festiwale, olimpiady, spartakiady, filmy i dyskoteki. Jesteśmy przekonani, iż do rodzinnych stron wrócimy zadowoleni, wypoczęci i opaleni, z zasobem nowych wrażeń, widoków i przeżyć.

Za pośrednictwem „Świata Młodych" pragniemy podziękować dyrekcji i działowi socjalnemu Kopalni Węgla Kamiennego „Komuna Paryska", kierownictwu i całemu personelowi kolonijnemu za stworzenie nam tak atrakcyjnego wypoczynku.

Samorząd kolonijny:
Małgorzata Najder,
Wojciech Kamiński,
Iwona Oleksiak

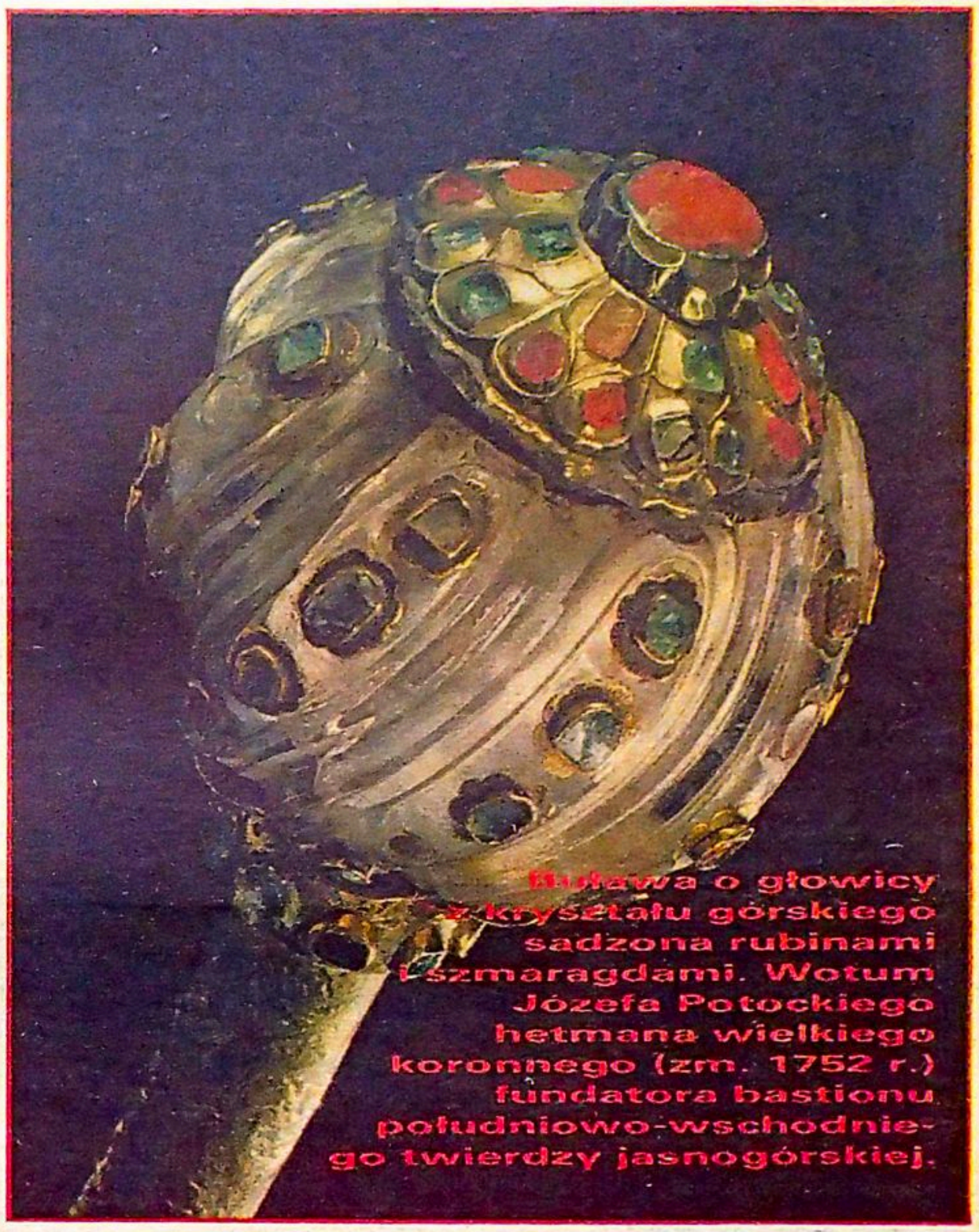

KLEJNOTY CZARNEJ MADONNY

Królewskie berła i hetmańskie buławy, cała historia ostatnich 600 lat ma swe pamiątki na Jasnej Górze w klasztorze ojców paulinów. Najpiękniejsze arcydzieła sztuki z okresu Jagiellonów i ziemia z pól bitewnych. Różańce ulepione z chleba przez zesłańców i Krzyże Virtuti Militari. Przedmioty o kunsztownych kształtach i drogocennych kamieniach i wzruszające pamiątki opowiadające o losach narodu.

Z okazji 600 lecia Jasnej Góry piszemy dziś na str. 4.

Fot. Archiwum Jasnogorskie

IMPERIUM KONTR-ATAKUJE...

... Tak w tłumaczeniu na polski nazywa się nowy film z gatunku fantastyki naukowej. Powyższe zdjęcie śniegołazów pochodzi właśnie z tego super obrazu. Ma on podobno zaćmić wszystkie dotychczasowe filmy sf, łącznie z „Gwiezdnymi wojnami". Inne szczegóły na str. 7 w TOMIKU.

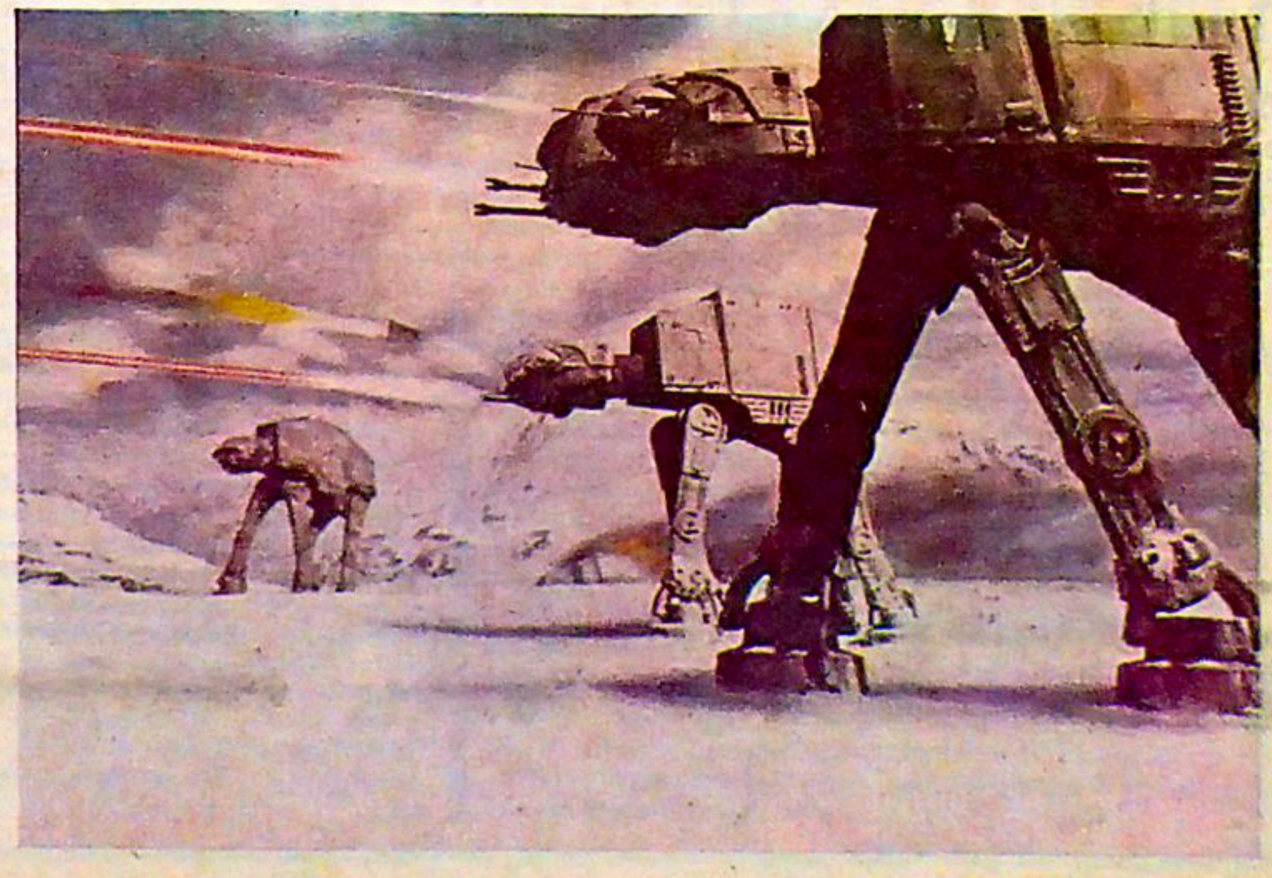

UFF, TE UPAŁY...

Nadzwyczajny komunikat biometeorologiczny, który biorę na własną głowę i odpowiedzialność: Wpływ wysokiej temperatury na układ psychosomatyczny ma nową jakość. Jaka to jakość? Taka, która nigdy nie przechodzi w ilość. Przechodzi prądami poziomymi i pionowymi (krzyżując się) przez szare komórki mózgowe (do wynajęcia).

Dlatego planeta ziemia ma siaki jaki bylejaki kolor, dlatego Marek „Tragiczny" ma gładkie lica, dlatego Marek z Wrocławia nagrał przez kalkę na taśmę magnetofonową śpiew ptaków itp. itd...

Barbara Skórska

STANĄŁEM PRZED RODZINNYM LUSTREM, BY SPOJRZEĆ SOBIE W OCZY I... ZDĘBIAŁEM

Obudziłem się rano w prześlicznej letniskowej miejscowości. Wszystko wokół mnie śpiewało i gdyby nie chrapanie mojego starszego brata, Andrzeja, zapomniałbym, że jestem na ziemi. Wyskoczyłem z łóżka i szybko zbiegłem po schodach z pokoiku na facjatce do kuchni, gdzie babcia szykowała już śniadanie. Zapowiadała się kapitalna pogoda, dzień ten był ważny szczególnie dla mnie. Otóż wczoraj poznałem fajną dziewczynę i postanowiliśmy się dzisiaj spotkać. Dla takiego „przeciętniaka" jak ja, spotkanie takie stanowi ważny moment życiowy. Na szczęście zaraz po śniadaniu Andrzej znikł. Znaczyło to, że nie będzie go nawet na obiedzie. Miałem więc dosyć czasu na przygotowanie się. Najpierw przemyślałem kilka wariantów rozmowy. Pobiegłem do pobliskiej biblioteki, by znaleźć w encyklopedii parę fachowych terminów. Z dumą myślałem jak błysnę przed nią intelektem.

Potem zastanowiłem się nad moim ubiorem. Zestaw odświętny odpadał, zestaw „niedbały" też (z powodu karygodnych plam na spodniach), wybrałem z konieczności zestaw sportowy. Z zadowoleniem stwierdziłem, że jest mi nie najgorzej. Jedynie co mnie zmartwiło, to moja twarz. Wyszczerzyłem żółte zęby w lustrze i od razu straciłem humor. No tak! Nie, uśmiechać się nie mogę, bo wyglądam jak ponurak, a uśmiech przy zaciśniętych wargach wygląda na wymuszony. Gdybym był choć trochę opalony, zęby „optycznie" wybieliłyby się. Do diabła! Co jest, że nigdy nie mogę się opalić! – myślałem. Zasępiony zaparzyłem sobie herbatę i o nieba, zaświtał mi wtedy genialny pomysł. Oczywiście, że w normalnych warunkach opalenie twarzy przez dwie godziny jest niemożliwe, ale...

Do blaszanego kubka wsypałem co najmniej pół paczki herbaty, zalałem wodą i zacząłem gotować. Tak, to świetny pomysł! Tylko czy esencja będzie się „sama trzymała" na twarzy? Wówczas wzrok mój padł na nasienie lnu, którego używała babcia. Nasypałem z rozmachem babcinych ziółek i po paru minutach stwierdziłem, że efekt jest wspaniały. Gęsty kleik i w kolorze herbaty. O to mi chodziło! Wnet do kuchni wkroczyła babcia.

– Mareczku, co ty tam gotujesz?

– Ja... ja? Zrobiłem herbatę – odpowiedziałem jąkając się i szybko uciekłem do pokoiku. Tam nałożyłem grubą warstwę własnej produkcji „kremu opalającego". Czas biegł nieubłaganie, było już późno, dlatego postanowiłem, że nie będę czekał aż masa zupełnie wyschnie. Ręką czułem, że mam twarz gładką jak nigdy przedtem, masa była kleista i śliska. Chciałem przed wyjściem zobaczyć się w rodzinnym lustrze, ale tam na nieszczęście królowała babcia. Wyszedłem tylnymi drzwiami. Szybko szedłem na umówione miejsce. Na Renatę nie czekałem długo. Przywitałem się z nią i zauważyłem że z przerażeniem patrzy na mnie. Zbiło mnie to z tropu tak, iż zapomniałem jak mam się odezwać. Dobrze się czujesz? – usłyszałem nagle jej głos. Oczywiście! – odparłem wytrzeszczając oczy, gdyż byłem zaskoczony pytaniem. Próbowałem się jeszcze opanować i uśmiechnąłem się do niej. Rozmowa potoczyła się wartko. Renata pytała czy chorowałem na żółtaczkę. Nie przypominałem sobie, ale dla spokoju powiedziałem, że kiedyś w dzieciństwie. To zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. Dotknęła dłonią mojej twarzy. A ja z radością czułem jak jej ręka szybko gładzi mój śliski policzek. Pomyślałem, że Renata musi być zachwycona gładkością moich lic. Ale ona jakoś mi tego nie okazywała, z trwogą w głosie powiedziała, że muszę natychmiast udać się do lekarza. Szybko pożegnała się i odeszła. Byłem tak zaskoczony, że opadłem bez sił na pobliską ławkę. Nic nie rozumiałem, nie widziałem nigdy, aby dziewczyna się tak zachowywała. Próbowałem zebrać myśli, ale po głowie chodziło mi jedno: klęska! Dowlokłem się do domu. Stanąłem przed rodzinnym lustrem, by spojrzeć sobie w oczy i... zdębiałem na widok mojej żółto-zielonej twarzy. Z przyzwyczajenia wyszczerzyłem jeszcze żółte zęby i wtedy widok stał się tak przerażający, że uciekłem czym prędzej na facjatkę. Okazało się, że Andrzej już wrócił. Zbadał oczywiście zawartość kubka, który niebacznie zostawiłem na stole, a gdy mnie zobaczył... dostał takiego ataku śmiechu, że przybiegła z dołu babcia.

Marek „Tragiczny"

POROZUMIENIE?

Na ulicy Wesołej w słonecznym cieniu spotkało się dwóch chłopców, którzy opowiadali sobie o różnych sprawach.

– Wczoraj był wyświetlany film o godzinie 15.00 w telewizji. Oglądałeś? – pyta Donat.

– Nie – odpowiada Rufin.

– To był fantastyczny film...

– Były tam potwory! – krzyknął Rufin – bardzo lubię fantastyczne filmy.

– Nie był to fantastyczny film, ale... jakby Ci to powiedzieć... bombowy – próbował wytłumaczyć Donat.

– O bombach, szkoda, że nie wiedziałem! – żałował Rufin.

– Nie zrozumiałeś mnie, to był po prostu fajny film.

– Aha – wreszcie zrozumiał Rufin.

– Cieszę się, że pojąłeś.

– Dokąd teraz idziesz? – spytał Rufin Donata.

– Załatwić sprawunki: do kina wypożyczyć książkę, do spożywczego kupić gazetę, do mięsnego po owoce tj.: marchewkę, rzodkiewkę, ziemniaki i buraki, i do kiosku po mięso – wyliczył Donat.

– A masz pieniądze? – pyta Rufin.

– Pewnie, że nie.

– No to jak kupisz to, co chcesz?

– Będę udawał, że płacę – zaśmiał się Donat.

– Będziesz udawał, że płaczesz? – nie rozumiał słów Donata Rufin, bo właśnie wtedy przejeżdżał rowerzysta.

– Płacę!!! – poprawił głośno Rufin.

– Za co mi płacisz?

– Za nic! – zdenerwował się Donat.

– Cześć! – krzyknął chłopcom Marcin.

– Jaka „cześć", komu ta „cześć", dla kogo? – denerwował się Donat.

– Nic nie rozumiesz – stwierdził Marcin.

– Już siódma, a sklepy zamkną o szóstej – nic już nie dostanę.

– Teraz jest siódma, ale rano! – tłumaczył Rufin.

– Ale jest ciemno – ciągnął swoje Donat.

– Bo burza nadchodzi – uspokajał Marcin.

– Muszę już iść – powiedział Rufin stojąc na suchej wodzie.

– I my też! – krzyczęli pozostali chłopcy.

I tak zakończyła się ich rozmowa.

Katarzyna Pacuła

DO GŁOWY BY MI NIE PRZYSZŁO

Z WULKANÓW LEJE SIĘ CZEKOLADA...

Do głowy by mi nie przyszło, że lato będzie śmietankowe. Tak, tak śmietankowe, drzewa malinowe i cukierków nawiedziła nas plaga. Z wulkanów (o rety!!!) leje się czekolada. Zamiast deszczu, kwaśna jak nic lemoniada. Z tego słodko-kwaśnego raju idą w świat ryki, kwiki i pomruki. Zleciały się ludy z innych planet!!! Wrzasnęli mama – mija i dali nogi za pas. A nasza umęczona planeta o zgrozo!... zmieniła kolor!!! O.O.O.O? Tak, tak!!! Słowo daję, zmieniła. Na... siaki, bylejaki, a na dodatek morze zrobiło się zielone. Do głowy by mi nie przyszło, że taki będzie świat za 200 lat.

Katarzyna Dereń

TĄ STRZAŁĄ INDIAŃSKĄ MOŻNA STRZELAĆ TYLKO W DÓŁ

Jestem chłopcem, to nie ulega wątpliwości. Mam 14 lat i małego pieska pekińczyka. Ale do rzeczy. Od 3/2 roku mam dziewczynę, a właściwie przyjaciółkę, ma na imię Hermenegildaminkolnesogijawik (krótkie imię, prawda?). Chodzimy razem do kina, na spacery, podczas roku szkolnego odrabiamy razem zadania domowe (fuj... szkoła).

Pewnego dnia Hermenegildaminkolnesogijawik przyszła do mnie; była naburmuszona, bo nie umiała zrobić zadania. Od razu wziąłem kartkę i zacząłem pisać pracę na temat z czego składa się strzała indiańska. Napisałem: „Strzała indiańska składa się z tylnej części i przedniej części, tylna część składa się z tylnej części i z przedniej części, a przednia część z przedniej części i z tylnej części. A tylna część tylnej części składa się z części przedniej i tylnej, część przednia tej samej części tylnej składa się dla odmiany z tylnej i przedniej. Tylna część części przedniej składa się z tylnej części i przedniej części, a część przednia części przedniej składa się z części tylnej i części przedniej. I tak wygląda w dobrym skrócie strzała. I jeszcze jedno: całość całej strzały jest wykonana z lekkiego drewna, najlepiej z gipsu. Tylne lotki są wykonane z piór kury, która jest już w tej chwili w piekarniku. Natomiast grot jest zrobiony z zaostrzonego kamienia, jego waga nie może przekraczać 3.9998435559 90993 tony. Do celu można strzelać tylko w dół, strzała do góry nie poleci, a więc strzelanie do góry nie ma sensu". Hermenegildaminkolnesogijawik uśmiechnęła się i przepisała to na czysto.

Marek Żemła

PRZEZ KALKĘ NAGRAŁEM ŚPIEW PTAKÓW I POZOSTAŁE ODGŁOSY LASU

Wybierałem się z kolegą do lasu, bo pokazały się grzyby. Przed wyjściem z domu kotu Myszobapie dałem kawę z mlekiem, ale jak zwykle wypił tylko mleko, a kawa została na dnie spodka. W lesie słuchaliśmy jak śpiewają ptaki; włączyłem magnetofon żeby nagrać ich śpiew. Andrzej chciał abym i jemu nagrał życie lasu, dlatego wziąłem z domu kalkę, przez którą nagrałem całą naszą wędrówkę. Teraz ja i Andrzej mamy takie same nagrania, Myszobap w tym czasie myszkował po lesie i szukał grzybów, ponieważ został nauczony i zna się na grzybach, wie który dobry czy robaczywy. Dzięki niemu przywiozłem do domu dosyć dużo grzybów, ale moi rodzice nie za bardzo się na grzybach chyba znają, bo kazali mi prawie wszystkie wyrzucić.

Marek Czaplicki

REDAKCYJNA POCZTA

Bliźniaczki pytają: czy dla Krzyśka warto poświęcić przyjaźń z Kasią?

Elu, jesteśmy siostrami-bliźniaczkami... no trochę starszymi od Ciebie, ale to przecież nie ma takiego wielkiego znaczenia. Często dyskutujemy ze sobą nad problemami poruszanymi na łamach „Redakcyjnej Poczty". Twój list (z 61 numeru „ŚM") zainteresował nas i postanowiłyśmy poradzić Ci tak, jak tylko potrafimy. Przede wszystkim chciałybyśmy Ci od razu odpowiedzieć: Do końca pozostań przy swoim: „Nie!". Nie warto poświęcać przyjaźni dla chłopca, którego „wcale nie znasz" i którego „prawie kochasz". Zastanów się, czy czasem w Krzyśku nie zlokalizowałaś swojego ideału chłopca? Prawdopodobnie zaimponował Ci on nie tylko osobowością, ale i starszym wiekiem. Piszesz w swoim liście, iż jest on poważny, gdyż ma 18 lat. Naszym zdaniem, wiek nie odgrywa tutaj roli. Możemy Cię zapewnić, że są chłopcy w wieku 18 lat niewiele poważniejsi od Twoich rówieśników. Z tego co piszesz, Krzysiek wydaje nam się jednym z nich, a jego „chodzenie na odczepne" daje wiele do myślenia. Na Twoim miejscu porozmawiałabym szczerze z Kasią, niczego nie ukrywając. Ona z pewnością doceni Twą lojalność i szczerość. Z pewnością podjęcie ostatecznej decyzji nie przyjdzie Ci łatwo. Pomyśl jednak o tym, że na świecie jest tylu chłopców i że wielu Ci się będzie jeszcze podobać. Czy warto dla Krzyśka poświęcić przyjaźń z Kasią?

Beata i Iwona

Jest to kawałek mojego życiorysu...

Czytając list zamieszczony w „RP", odniosłam wrażenie, że jest to kawałek mojego życiorysu. Ela przeżywa teraz to, co ja przeżyłam 3 lata temu.

Elu nie chciałabym Ci nic sugerować, nawet radzić, opiszę Ci tylko moją historię. Mam przyjaciółkę, (od 11-tu lat!), która pewnego dnia na prywatce u kolegi przedstawiła mi swojego pierwszego chłopaka. Miałam wtedy 14 lat, Danka 15, a Stefan 19. Stwarzali wrażenie zakochanych w sobie „po uszy". Po godzinie zabawy Stefan (chłopiec Danki) poprosił mnie do tańca i... odtąd tańczył tylko ze mną. Po czterech „kawałkach" zorientowałam się w jego zamiarach i kolejne zaproszenia odrzucałam. Potem poprosił mnie o rozmowę. Dalej sytuacja jest identyczna jak u Ciebie, z tym, że Ty zakończyłaś rozmowę zatrzaśnięciem drzwi, a ja zerwałam z wieszaka płaszcz i wybiegłam. W domu przemyślałam wszystko i postanowiłam porozmawiać z Danką i ze Stefanem od razu. Zaaranżowałam spotkanie w kinie. Po filmie poszliśmy do parku i przy Stefanie opowiedziałam Dance całą historię. Nie wiem, czy Danka kierowała się poświęceniem wobec naszej przyjaźni, w każdym razie, gdy Stefan powiedział jej, że to właśnie ja jestem tą „wymarzoną", Danka życzyła nam szczęścia i na tym skończyła się sprawa. Obyło się bez scen zazdrości, awantur, i wymówek. Elu, chodziłam ze Stefanem 2,5 roku, ale wierz mi, że gdyby można było cofnąć czas, nigdy bym tego nie zrobiła. Po prostu nacięłam się bardzo, jak zresztą prawie na wszystkich chłopakach, natomiast przekonałam się, że stokrotnie lepsza jest jedna prawdziwa przyjaciółka, niż dziesięciu chłopaków. Doszłam do dość przykrego wniosku, że „brzydsza" część ludzkości po prostu nie UMIE kochać!

Ig

Spotkania

LIST DO BUŁATA OKUDŻAWY

Szybko uciekło tegoroczne lato. Sam tak szybko przebiegłem przez nie razem z mijającymi dniami, że – choć lubię nie tylko otrzymywać ale i pisać listy – stać mnie było tylko na telegramy. I dopiero teraz, gdy wakacyjne lato liczy już swoje ostatnie dni, chcę nadrobić korespondencyjne zaległości. Do kogo napisać najpierw? Tylu przyjaciół pamiętało o mnie w swych kartkach wysłanych z wakacyjnych szlaków. Tylu chciało się ze mną – jako z autorem cotygodniowych „Spotkań" – podzielić swoimi wrażeniami z lata. Tylu nowych przyjaciół poznałem na obozie młodych twórców w Kielcach, gdzie w czasie ciągnących się nieregulaminowo w nocy rozmów nie powiedzieliśmy sobie z pewnością wszystkiego...

A jednak pierwszeństwo dam Bułatowi Okudżawie, jednemu z najbardziej znanych poetów radzieckich, który śladem dawnych trubadurów sam trafia ze swoją poezją do tych, którzy na nią oczekują. Z własną muzyką, z nieodłączną gitarą, z jednoosobową maleńką orkiestrą, grającą pod batutą serca, jak napisał w jednej ze swoich ballad.

Skąd Okudżawa w moim lecie? Po porostu spotkanie z nim tego lata było dla mnie, a może i nie tylko dla mnie, przeżyciem najgłębszym i najważniejszym.

To był jego koncert, w tamten ciepły kielecki wieczór, w amfiteatrze otoczonym skalistymi ścianami. Na scenie kolorowym nastrojowym polonezem rozwijała się w kolejnych figurach dawna Polska. I nagle wszystkie pary znieruchomiały, a spomiędzy nich wyszedł gitarzysta, śpiewający jedną z ballad Okudżawy.

„Pospólny los, Polacy, nas zdawien dawna zbratał na dolę i niedolę, na dobro i na zło...
Gdy trębacz nad Krakowem w hejnale stromym wzlata,
z nadzieją strzygę uchem i szabli szuka dłoń.
Cóż wolność? Wybrać pociąg i mieć w pogardzie konie?
Cóż wolność? Tłuc szklanice? W noc śpiewać, we dnie spać?
Natura już w kolebce odjęła nam ironię...
Lecz jest prawdziwsza wolność. Spróbujmy przy niej trwać."

A potem nagle scena ożyła w zadzierżystym mazurze, w którym zawirowała cała scena, a z nią cały amfiteatr. Rytm, który porywał wszystkich i łączył w jedno.

A gdy przewinęły się już przez scenę wszystkie zespoły, gdy przebrzmiały piosenki i poetyckie strofy, z ciemności wyszedł ten sam gitarzysta z nową, dobrze znaną balladą.

„Dopóki ziemia kręci się, dopóki jest tak czy siak,
Panie, ofiaruj każdemu z nas, czego mu w życiu brak..."

W miarę, jak rozwijała się ballada, rósł w mocy zielony snop światła bijący w pogodne niebo nad amfiteatrem, a ginącego coraz bardziej w mroku gitarzystę otaczali zwartym kręgiem młodzi ludzie. W ich rękach na białych tablicach połyskiwały czarne słowa o pięknie, radości, prawdzie, nadziei, poezji, wierze, miłości, szczęściu, słowem o tym wszystkim, o czym gra od lat maleńka orkiestra Okudżawy, kierowana batutą jego serca.

„Panie zielonooki mój, Boże jedyny, spraw –
dopóki nam ziemia toczy się, zdumiona obrotem spraw,
dopóki czasu i prochu wciąż jeszcze wystarcza jej –
dajże każdemu po trochu...
I mnie w opiece swej miej."

W milczeniu rozchodzili się zasłuchani w echo ballady widzowie, zwyciężeni siłą poezji. A olbrzymi bukiet białych i czerwonych goździków, który otrzymał twórca tego koncertu, należał się właściwie Okudżawie i jego poezji.

I właśnie o tym, o moim największym wakacyjnym przeżyciu, którego siłę trudno oddać w czarnych rządkach liter, chciałem napisać w pierwszym tego lata liście do Bulata Okudżawy.

Bo bez znaczenia jest w tym momencie fakt, że sam koncert wyglądał może trochę inaczej; ja i nie tylko ja zapamiętam go właśnie tak, a odkryty na nowo dobiegający już sześćdziesiątki Okudżawa zostanie dla nas poetą tego lata, poetą, który – jak sam o sobie mówi – bierze gitarę i po prostu próbuje śpiewać wiersze. Tak jak próbowali je mówić w kieleckie wieczory – Ewa, Beata, Piotr, Martyna, Barka, Sławek, Czesiek, Krzysztof, Jola, Małgorzata, z którymi spotkałem się tam na obozie młodych twórców. Gdy żegnałem się z nimi znowu śpiewaliśmy Okudżawę. Widocznie i dla nich stał się ważny tego lata...

Miałem napisać list, a zamiast tego napisałem, dlaczego chcę go napisać. Cóż teraz nie pozostaje mi nic innego jak wysłać telegram: *Bułat Okudżawa, Moskwa, Zaułek Poezji – dziękuję za spotkanie tego lata.*

Jarek

HOROSKOP

POD SŁOŃCEM

Będziesz miał trudności z utrzymaniem równowagi, i to zarówno w znaczeniu fizycznym, jak i psychicznym. Gorzej – być może staniesz się ofiarą przyciągania ziemskiego. Wszystko to jednak będzie „chwilką tylko", bo poza tym same luksusy: działania na wolnym powietrzu, spacery w leśnych aromatach, słowem – pełny wakacyjny relaks. Jedna z planet mówi coś o błyszczących kaskach, ogniu i pośpiechu, ale będą to sprawy marginesowe.

Przestrzegają też układy planet, że nie są teraz dni do bicia rekordów, przyhamuj więc niezdrowe ambicje.

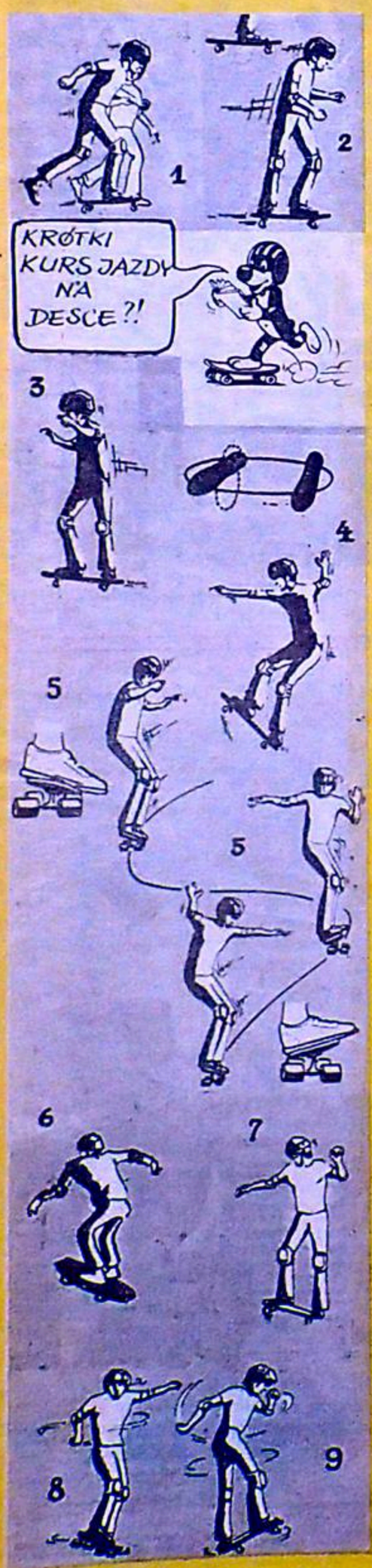

KAŻDY MOŻE BYĆ ROBINSONEM

WTP'82

Powinien więc umieć również odróżniać grzyby jadalne od niejadalnych i trujących. W ubiegłą sobotę poznaliśmy grzyby najbardziej trujące, dziś nieco o takich, które choć wyglądają podejrzanie, to jednak są bardzo smaczne i można je spożywać bez najmniejszych obaw.

Pozory często mylą

ZIMÓWKA AKSAMITNA, jeden z naszych krajowych zimowych grzybów. Rośnie od listopada do marca na pniach drzew liściastych i można go zbierać całą zimę

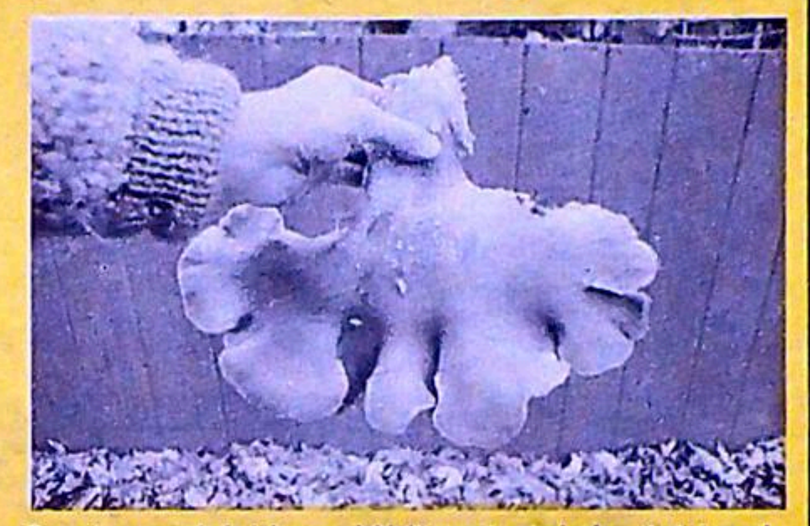

To coś, co wygląda jak ogon jakiejś egzotycznej ryby – to też grzyb. Bardzo smaczny BOCZNIAK OSTRYGOWATY

Zapewne więc mało kto wie, że występują u nas w Polsce grzyby jadalne, które pojawiają się późną jesienią, dopiero wtedy gdy temperatura spadnie poniżej zera! Silne mrozy i śniegi przerywają tylko ich wegetację, ale na ogół na krótko. Wystarczy bowiem lekkie ocieplenie, a one znów rosną sobie jak gdyby nigdy nic. Można je zbierać całą zimę – aż do marca. Rosną na obumarłych i żywych pniach drzew liściastych, niekiedy w bardzo licznych koloniach, najczęściej dachówkowato, jedne nad drugimi. Pojedynczy grzybek jest niewielki, ma kapelusik w różnych odcieniach – od żółtego do kasztanowego, a trzonek – często bardzo długi, rosnący pod korą drzewa, zawsze kasztanowobrązowy u nasady, jaśniejący w miarę zbliżania się do kapelusza. Grzybek ten nazywa się **ZIMÓWKA AKSAMITNA** i np. w Japonii jest hodowany na skalę przemysłową, na podłożu ze słomy lub na klockach drewna liściastego.

Drugi z dziwnych grzybów, który chcę Wam dziś przedstawić nazywa się **BOCZNIAK OSTRYGOWATY** i czasami bywa koloru... niebieskiego. Są również odmiany brązowe lub żółtoszare. Rośnie jesienią w koloniach na drzewach liściastych, często na dużych wysokościach. Spotykałem okazy rosnące na starych topolach, na wysokości 10–15 m. Jak sama nazwa wskazuje, ma on często kształt ostrygi i trzonek umieszczony nie w środku kapelusza, lecz na jego brzegu. Jest równie smaczny jak inne grzyby, np. pieczarki, i co najważniejsze – również nadaje się do hodowli.

Grzybnię boczniaka można wiosną i latem dostać w sklepach Centrali Nasiennej, a własne grzyby wyhodować na wilgotnej słomie pociętej na sieczkę. Dokładny przepis dodają do cylindrycznych pojemników z grzybnią.

Trzeci grzyb z widocznych obok na zdjęciach, to bardzo popularny i chętnie zbierany **PODGRZYBEK ZŁOTAWY.** To już jest tradycyjne jesienne trofeum, występujące w kilku odmianach. Ponieważ prawdziwych borowików jest coraz mniej, podgrzybki zaczynają pełnić powoli ich – że się tak wyrażę – wiodącą rolę. W smaku są prawie identyczne, nie dochodzą tylko do takich rozmiarów, ale za to z zasady owocują w gromadach. Zachęcam Was do suszenia podgrzybków, które przechowywane potem w płóciennych woreczkach, staną się ozdobą każdej spiżarni, gdyż mają znakomity zapach.

Zrozumiałe, że prawdziwy Robinson zbiera również tradycyjne grzyby jadalne i potrafi je bezbłędnie odróżniać od innych. Ten na zdjęciu to PODGRZYBEK ZŁOTAWY nie ustępujący w smaku borowikowi

Grzyby zakończyły nasz wakacyjny cykl spotkań, pt. **„Każdy może być Robinsonem"** – w którym staraliśmy się zwrócić Waszą uwagę na niektóre dziko rosnące w Polsce rośliny i możliwości ich wykorzystania. Żegnam więc tych, którzy wędrowali wraz ze mną i do zobaczenia!

Wasz **Wakacyjny Robinson**
Fot. **Jerzy Dąbrowski**

Opanuj tę sztukę jeszcze w czasie wakacji!

KRÓTKI KURS JAZDY NA DESCE

Piszą do nas alarmistyczne listy posiadacze „skate-board" czy też „deskowrotek", „hulajdesek" lub jeszcze inaczej: JAK SIĘ SZYBKO I PRAWIDŁOWO NAUCZYĆ JEŹDZIĆ?

Dziś i tylko dziś WTP'82 przeprowadza dla wszystkich początkujących posiadaczy „deskowrotek" krótki ilustrowany kurs nauki jazdy. Pamiętaj jednak, że jest to kurs-minimum! A więc nauka podstaw, tak pomyślana, że wszelkie dalsze uproszczenia prowadzą donikąd, a pomijanie naszych rad i uwag może narazić was na niebezpieczne urazy.

A więc – zaczynamy!

● Zapewnij sobie pomoc rówieśnika lub kogoś starszego. Przyda się ona przy pierwszych próbach ewolucji; asekurowany przez drugą osobę unikniesz urazów i kontuzji.

● Nie pajacuj! Niech ci się nie zdaje, że wszystko umiesz, bo nagle możesz zaryć nosem w asfalt. Zaczynaj od ABC czyli od figur podstawowych.

● Ubiór jest bardzo ważny: rękawice, nakolanniki i nałokietniki, kask, sweter, dżinsy lub dres, obuwie na gumowej podeszwie.

● Teren do ćwiczeń – bez pojazdów i pieszych, rozległy i równy, suchy, najlepiej wyasfaltowane boisko lub plac; unikać ruszających się płyt chodnikowych.

PIERWSZE MOMENTY

Rysunek 1. Z pomocą kolegi przejedź kawałek na desce odpychając się nogą. Złap równowagę z asekuracją. Gdy ci się to uda spróbuj rozpędzić się i postawić na desce obie nogi, jak pokazuje rys. 2.

Gdy już opanowałeś to, co powyżej – po ruszaniu z miejsca przenoś ciężar ciała na stopę, stojącą nad tylnymi kółkami (rys. 3), a stopą ustawioną przed nią kieruj deską (rys. 4). Dla utrzymania równowagi pomagaj sobie rękami.

SKRĘTY I SLALOM

Rysunek 5 tłumaczy zasadę wykonywania skrętów w lewo i w prawo. Jest to jeden ze sposobów, umożliwiających przez powtarzanie tych samych czynności wykonanie slalomu dowolnej długości. Pozycja wyjściowa – jak na rys. 4. Inny sposób jazdy slalomowej przedstawia rys. 6; oś stóp jest równoległa do kierunku jazdy. W obu wypadkach najważniejsze jest opanowanie balansowania ciałem.

OBROTY

W czasie jazdy przenieś gwałtownie cały ciężar ciała na nogę stojącą nad tylną osią (rys. 7), aby przednie koła deski oderwały się od podłoża. Jednocześnie wykonaj silny skręt ciała z zamachem rękami i tułowiem (rys. 8), aby deska przekręciła się z tobą pod żądanym kątem do kierunku jazdy – jak na rys. 9.

Jeśli opanujesz do końca wakacji opisane w naszym kursie elementy jazdy, będziesz mógł z podniesionym czołem zająć miejsce wśród doświadczonych „deskowiczów" podwórka. Będziesz miał też doskonałą podstawę do opanowania trudniejszych ewolucji, które „podejrzysz" u najlepszych. (s)

Z KSIĘGI REKORDÓW GUINNESSA

Zawody w „skateboard" odbywały się z przerwami od 1966 r. Mike Kenney wygrał maraton w Reseda w Kalifornii 26 maja 1979 r. przejechawszy 349,7 km w 30 godzin i 35 minut. Richard K. Brown, lat 33, w pozycji leżącej osiągnął najwyższą zanotowaną prędkość na „skateboard" wynoszącą 71,49 mil na godzinę. Odbyło się to na torze w Mt Blady w Kalifornii, 17 czerwca 1979 r. przy spełnieniu wszelkich wymagań Amerykańskiego Towarzystwa Skateboard. Rekord w pozycji stojącej wynosi 53,45 mile na godzinę (86,01 km/godz.), osiągnięty został przez Johna Hutsona, lat 23, w Signal Hill, Long Beach w Kalifornii 11 czerwca 1978 r. Rekord w skoku wzwyż wynosi 1,575 m. osiągnięty przez Trevora Baxtera, lat 19, podczas mistrzostw w Kelvingrove. Glasgow 22 września 1979 r. Podczas czwartych mistrzostw organizowanych przez Amerykańskie Towarzystwo Skateboard w Signal Hill 25 września 1977 r., Tony Alva, lat 19, przeskoczył 17 beczek (5,18 m).

TU PIERWSZA POMOC!

Wszystkim tym, którzy w czasie nauki jazdy na desce mogą doznać najpopularniejszych w tej dyscyplinie urazów różnych części ciała, podajemy najprostsze i najskuteczniejsze sposoby opatrywania. Pamiętajcie, że są to opatrunki chwilowe; trzeba je jak najszybciej zamienić solidnymi, prawidłowo założonymi opatrunkami, a z groźniejszymi zgłosić się do najbliższego punktu sanitarnego lub do lekarza. **(jast)**

Jest takie muzeum

JAK DAWNIEJ POŻARY GASZONO...

Ma swoje muzeum przyroda, technika czy etnografia, dlaczegóż by nie mieli go mieć dajmy na to... strażacy? Tak z pewnością pomyśleli działacze społeczni i członkowie ochotniczej straży pożarnej z Wielkopolski, po czym szybko ten błąd naprawili. Wynikiem tego naprawienia było urządzenie w Rakoniewicach w ewangelickim zborze z XVII w. Wielkopolskiego Muzeum Pożarnictwa. Zebrało się przecież mnóstwo interesujących dokumentów i eksponatów. Najdawniejsze, bo sięgające XV stulecia, to statuty prawa porządkowego, zobowiązującego wszystkich obywateli do gaszenia pożarów oraz przepisy określające zasady budowy domów murowanych.

Ocalał ponadto zabytkowy sprzęt, ściśle z wyposażeniem służb pożarniczych związany. A to: XVIII-wieczne konne sikawki, staroświeckie wozy, archaiczne motopompy. Dziw, że to wszystko brało kiedyś sprawny udział w gaszeniu żywiołu. Są też elementy wyposażenia osobistego dzielnych sikawkowych z Rakoniewic, Otorowa, Szamotuł czy Ostroroga: topory, hełmy, gaśnice, bosaki, mundury, odznaczenia. Zbiór uzupełnia duża kolekcja znaczków filumenistycznych oraz blisko 200 plakatów o tematyce pożarniczej. **(tem)**

600 LAT JASNEJ GÓRY

Bramy jasnogórskiego klasztoru są gościnnie, szeroko otwarte. Nikt nie pyta: przybywasz, by się modlić czy podumać w świątyni pamiątek historii swojego narodu. Wejść tu może każdy.

Nieustająca fala ludzi wlewa się więc na dziedziniec, przenika do kaplicy, w której znajduje się obraz Matki Boskiej słynący cudami, przedmiot kultu i cel pielgrzymek. Potężny dźwięk muzyki wypełnia wnętrze, potęgując nastrój chwili, kiedy następuje odsłonięcie obrazu. Oblicze Czarnej Madonny ma nieodgadniony wyraz, tak jak tajemnicą są owiane dzieje powstania tego obrazu. Nie wiadomo, kto jest jego autorem. Namalowany na desce obraz Matki Boskiej od 600 lat znajduje się na Jasnej Górze w klasztorze ojców paulinów. Sprowadzonym z Węgier zakonnikom przekazał go książę Władysław Opolczyk, fundator klasztoru.

Sława cudownego obrazu ściągała pielgrzymów z różnych stron. Przybywali na Jasną Górę polscy królowie i hetmani, pobożni pątnicy i zwyczajni ludzie. Królowie i wodzowie zanosili modły o zwycięstwo swego oręża lub dziękowali za nie, prości ludzie błagali o zdrowie. Jak podają przekazy już w XV wieku utrwalił się zwyczaj zawieszania wprost na obrazie kosztownych ozdób w charakterze wotów w podzięce za doznane lub upragnione łaski. Padły łupem opryszków w 1430 roku. Potem dziękczynne dary zawieszano w sąsiedztwie ołtarza. Sznury korali, złote łańcuchy i naszyjniki, ślubne obrączki i pierścienie stawały się następnie tworzywem do wykonania nakładanych na Madonnę tzw. sukienek, które zaczęto stosować w drugiej połowie XVII wieku. Jest np. sukienka z ciasno nanizanych obrączek ślubnych...

Najcenniejsze dary i wota znajdują się w Skarbcu, a ostatnio, niektóre z nich można również podziwiać w otwartym w dawnej drukarni ojców paulinów „Muzeum 600 lecia". W dawnej zbrojowni fortecy jasnogórskiej w Arsenale zgromadzona została broń, insygnia hetmańskiej władzy, odznaczenia, biżuteria patriotyczna. Jednak najdłuższa kolejka stoi przed wejściem do Skarbca. Oczekiwanie w niej jest wynagrodzone, gdy człowiek wejdzie do wnętrza: tyle tu bezcennych ze względu na historię Jasnej Góry i Polski i przepięknych jako dzieła artystyczne przedmiotów. Haftowane złotą i srebrną nicią, naszywane perłami ornaty, wspaniałe lśniące złotem monstrancje, kielichy i krzyże, kunsztowne dzieła jubilerskiej pracy. Wspaniałe ozdoby i precjoza mienią się wszystkimi kamieniami świata. Ocieramy się o historię Polski z okresu Jagiellonów.

Oprócz drogocennych, ofiarowanych przez królów i królowe dzieł sztuki sakralnej są i przedmioty wzruszające w swej wymowie, ofiarowane przez ludzi nam współczesnych. Jest np. urna z prochami zamordowanych na Majdanku i tych którzy polegli w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku.

KLEJNOTY CZARNEJ MADONNY

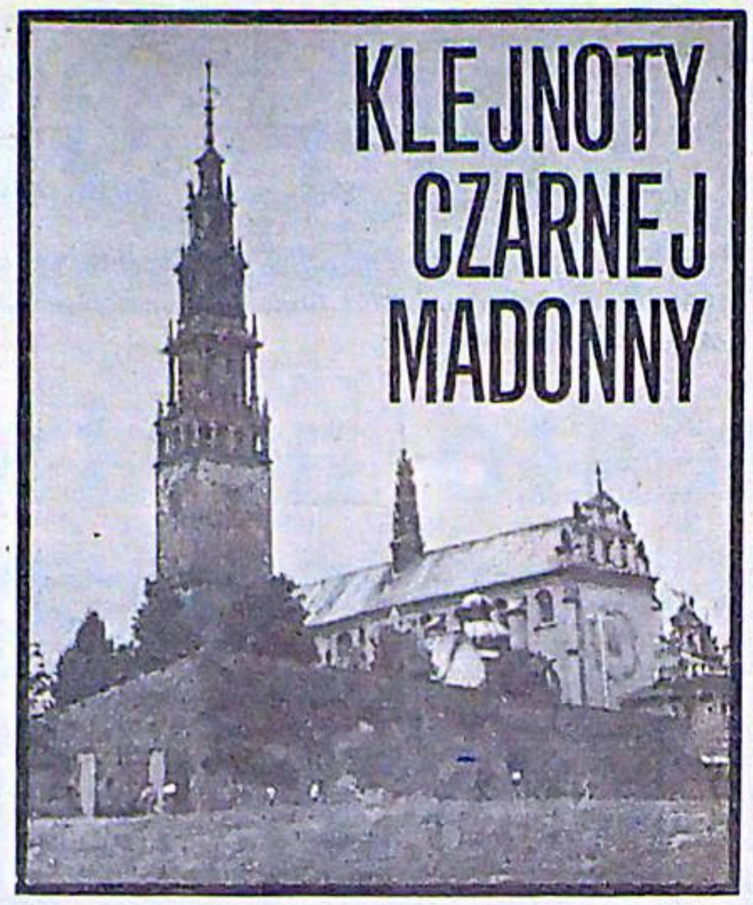

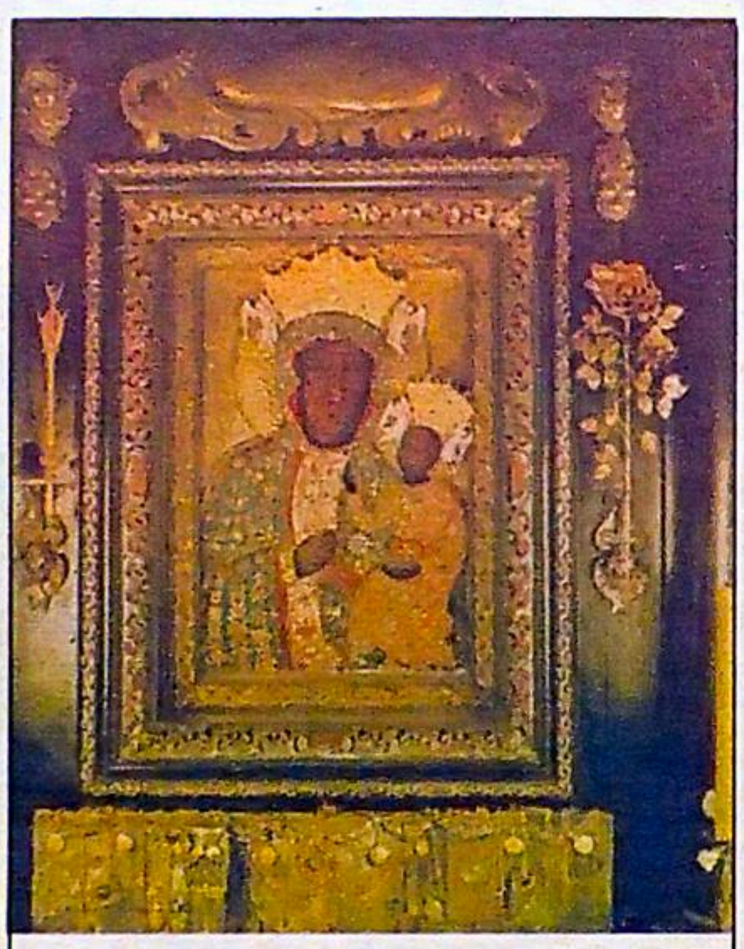

Z prawej strony obrazu Madonny w sukience rubinowej złota róża przekazana przez papieża Jana Pawła II

Fot. **Zdzisław Sowiński**

W jednej z gablot można dojrzeć miniaturowe srebrne skrzypce, o których objaśnienie mówi, że jest to dar inż. Jana Gacanka „za uratowanie życia w czasie II wojny światowej".

Tuż przy wejściu do Skarbca oprawiony jak obrazek wisi na ścianie niewielka moneta księcia Władysława Opolczyka, fundatora klasztoru, który obrazowi Madonny znalezionemu na Rusi w bełzkim zamku w 1382 roku zapewnił opiekę ojców paulinów.

Historia Polski przez stulecia związana była i jest z kulturą chrześcijańską, z katolicyzmem. Jasnogórski klasztor pełniąc przede wszystkim rolę wielkiego ośrodka kultu Matki Bożej, jest miejscem z którego patrzy na nas historia. Jakie to szczęście, że bezcenne narodowe pamiątki bezpiecznie przetrwały pod troskliwą i czujną opieką ojców paulinów... Kiedy trzeba było, mnisi w białych habitach bronili klasztoru – fortecy. Skromny przeor ks. Kordecki okazał niezłomny hart ducha i męstwo nie poddając jasnogórskiej fortecy oblegającym ją Szwedom. Znamy te wydarzenia z literatury, uwiecznione są na stronicach „Potopu" Henryka Sienkiewicza.

Nie tylko wtedy paulini dawali dowód swojego patriotyzmu. Podczas Insurekcji Kościuszkowskiej ofiarowali na cele wojenne jeden ze swoich dzwonów.

W dawnej zbrojowni jasnogórskiej, w Arsenale, dużo zwiedzających gromadzi się przy starej broni. Skorupy i odłamki kul armatnich przypominają czas szwedzkiego potopu. Jest też szabla oficerska, która należała do Edwarda Rydza-Śmigłego i pałasz turecki z głownią perską z XVI wieku, według tradycji – własność mądrego i walecznego króla Stefana Batorego.

Z wiedeńskiej wiktorii Jana III Sobieskiego (1683 r.) pochodzą odrzwia do polowego namiotu wielkiego wezyra tureckiego Kara Mustafy. Buńczuk tatarski – trofeum wojenne jeszcze nie wybranego na króla lecz hetmana, Jana Sobieskiego, ofiarowane przez jego syna Jakuba w 1722 roku. Jakub Sobieski ofiarował też srebrne okucie od orlego skrzydła – znaku królewskiego swojego ojca Jana, pod którym dowodził on w bitwie pod Wiedniem. Jest ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, symbolicznym znakiem rycerskim noszonym na piersiach przez konfederatów barskich. I książeczka do nabożeństwa, która ocaliła życie żołnierzowi pod Monte Cassino, gdyż odłamek granatu uwiązł w jej kartkach.

W otwartym niedawno „Muzeum 600 lecia" (urządzonym według scenariusza dr. Marka Roztworowskiego, twórcy głośnej krakowskiej wystawy Polaków Portret Własny) oprócz niewyobrażalnie cennych dzieł, pamiątek, malowideł zgromadzono stare instrumenty muzyczne. Niektóre są tak unikalne, że nie posiada ich nawet Muzeum Instrumentów w Poznaniu.

Miałam sposobność, będąc na Jasnej Górze, wysłuchać wspomnień byłego przeora O. Jerzego Tomzińskiego. Przeznaczone one były dla artystów plastyków przebywających na zaproszenie paulinów na plenerze malarskim. Pamiętający wiele ojciec Jerzy wspomniał jednego z przeorów sprzed wojny, który na wielkim zjeździe polskiej arystokracji i ziemiaństwa bez ogródek zapytał: kiedy wreszcie przeprowadzicie reformę rolną?

Wspomnienia Ojca Jerzego były ciekawe, a rzecz się działa w przepięknym i dostojnym wnętrzu klasztornej biblioteki, zastawionej księgami pod sufit. Ręcznie pisane, bogato iluminowane stanowią oddzielny rozdział zabytków Jasnej Góry. Dzięki pracowitym mnichom z częstochowskiego klasztoru zachowało się wiele cennych dzieł m.in. jedna z najstarszych zachowanych kopii kroniki Wincentego Kadłubka.

Archiwum klasztorne, w którym nie mogłam być, gdyż mieści się ono za klauzurą, czyli tam, gdzie znajdują się cele zakonników, zawiera dokumenty, których kopie przeczytać można na wystawie w Arsenale. Wiadomo z nich, kiedy i jakie na Jasnej Górze były armaty gotowe do obrony dziedzictwa Czarnej Madonny. „Regestr dział rynsztunku i wszystkich sprzętów wojennych" wykazywał: armat spiżowych 49, czopów do zwodzenia mostów 2 itd.

Za zwiedzanie budzących poczucie narodowej więzi, dumy i wzruszenia pamiątek i dzieł sztuki ojcowie paulini nie pobierają opłat. Gdy zagadnęłam w tej sprawie kuratora zbiorów jasnogórskich, Ojca Jana Golonkę, (mgr historyk sztuki) odrzekł:

– Przecież wiszą skarbonki! Ci pielgrzymi i turyści, którzy chcą przekazać jakąś kwotę – mogą to uczynić.

Ale zobaczyć mogą wszyscy...

ANNA GRZYBOWIECKA

Cała ściana Arsenału pokryta jest setkami orderów, odznaczeń, odznak polskich i obcych przekazanych przez b. żołnierzy. Te na fotografii pochodzą z okresu międzywojennego

Fot. **Zdzisław Sowiński**

▲ *Fragment monstrancji używanej, jak mówi tradycja, w czasie oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów oraz krzyż gotycki – dary króla Zygmunta I*

▼

Fot. **Archiwum Jasnogórskie**

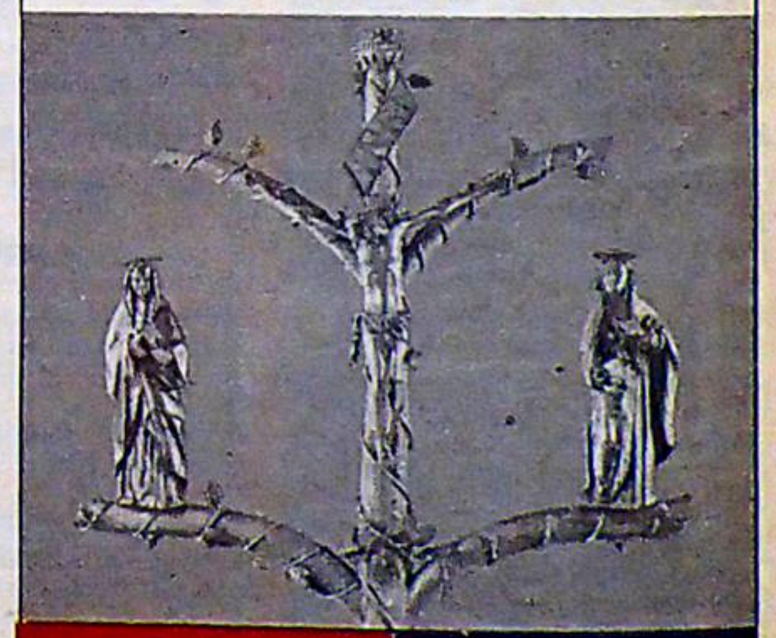

Złota monstrancja przeora O. Kordeckiego będąca podziękowaniem za obronę Jasnej Góry zawiera ponad 2 tysiące brylantów

Fot. **Zdzisław Sowiński**

Kielich hetmana Jerzego Lubomirskiego, złoty wysadzany perełkami ze scenami męki Chrystusa wykonanymi w emalii

Fot. **Archiwum Jasnogórskie**

A pieśń pozostanie

Kwieciste spódniczki migające w tańcu, granatowe dresy i tenisówki tancerzy. Przy dźwiękach akordeonu kilkadziesiąt osób ćwiczy układy i konfiguracje, obraz zmienia się jak w kalejdoskopie.

Próba artystyczna podlaskiego zespołu folklorystycznego „Kukułki" odbywa się w sali gimnastycznej Zespołu Szkół Rolniczych w Bielsku Podlaskim. Bielskie „Kukułki" mają już 10 lat, a ich kierownikiem jest od początku druh Michał Turkowicz. Bez niego – jak mówią – nie byłoby zespołu. Druh Michał tak jak zawsze krąży po sali ze swym nieodłącznym akordeonem i dyryguje 60 osobową grupą. Tancerze stają półkolem, na scenę wychodzi solista. Słuchając nastrojowej melodyjnej pieśni podlaskiej zapomina się o sali gimnastycznej i ubraniach treningowych. Po chwili wszyscy członkowie zespołu tworzą orszak ślubny, ceremonii weselnej towarzyszą dowcipne oracje mówione gwarą.

Jeden chłopak wydaje mi się trochę starszy od innych.

– To jest Andrzej, nasz absolwent – wyjaśnia druh – właśnie skończył wojsko i przyjechał do nas.

Po prawie dwóch godzinach próba się kończy i możemy trochę porozmawiać.

– Kiedyś, jeszcze jako uczeń, myślałem o tym aby wycofać się z zespołu i bardziej zająć się nauką – odpowiada Andrzej. Nie dawałem sobie rady z organizacją zajęć, tym bardziej, że dojeżdżałem do Bielska kilkanaście kilometrów. Byłem zmęczony i nie przyszedłem na dwie próby, ale... okazało się, że nie wiem co robić z tym wolnym czasem.

Dorota i Małgosia wpadły z ciekawości na jedną z prób i już zostały. Tatiana poznała w zespole swojego chłopaka i teraz już od roku tańczą razem w parze. Krzyśka zachęcił kolega i udało się.

Być w „Kukułkach" to dużo znaczy na terenie szkoły, ale również zobowiązuje.

– Musimy naprawdę dużo pracować, aby utrzymać poziom, jednak nie zrezygnowałbym z tego wysiłku, chociaż czasem „padam na pysk" – zwierza się Janek.

Druh Michał jest, według swoich podopiecznych, chyba najbardziej zajętym człowiekiem w Bielsku. Pracuje jako nauczyciel mechanizacji rolnictwa, prowadzi swoje gospodarstwo rolne,

Fot. **Archiwum Zespołu**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

LICEUM LOTNICZE W DĘBLINIE
1.IX.1982 r. kończy 10 lat

SKRZYDLATE PRZEDSZKOLE

Niezwykła to szkoła. Nie tylko dlatego, że podlega dwom ministerstwom – Obrony Narodowej oraz Oświaty i Wychowania. Jej uczniowie – wyłącznie chłopcy – uczą się wszystkich przedmiotów ogólnokształcących, a od drugiego roku począwszy – wszystkich przedmiotów lotniczych, a jest ich trzynaście. Dyrektor tej szkoły – pułkownik Bonifacy Sych twierdzi, że najtrudniejszy jest dla młodych ludzi pierwszy rok. I właśnie w tym pierwszym roku najwięcej się ich wycofuje. Ledwo delikwent po zaliczeniu badań lotniczo-lekarskich i zdaniu egzaminów przekroczy bramę, ostrzygą go i wpakują w mundur. Ledwo rozpoczną się pierwsze zajęcia – okazuje się w większości przypadków, że uczniowie nie rozumieją wykładowcy. Ba, koszula, bluza, czy spodnie muszą być zawsze czyste i wyprasowane na kant. I o ile brak wiadomości można nadrobić przez zorganizowanie dodatkowych zajęć uzupełniających, to prać i prasować należy samemu. Samemu też trzeba się nauczyć dyscypliny. Bo tu, od pierwszych dni wymagana jest również czystość i elegancja.

Przy Liceum Lotniczym działa szczep harcerski. Instruktorzy tego szczepu – Jurek Chrulski, Mariusz Urbanowicz, Sławek Nowociński i Andrzej Kaczmarczyk – z którymi spotkałam się w gabinecie dyrektora uważają iż dużo łatwiej przystosowują się do nowych warunków harcerze. Oczywiście tacy, którzy mają już za sobą biwaki i obozy harcerskie. Są oni bardziej zaradni, zdyscyplinowani i... koleżeńscy. Drugowie Jurek, Mariusz, Sławek i Andrzej ukończyli właśnie Liceum i od połowy września włożą mundury podchorążych Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Lotniczych.

Kapitan, Adam Pernak, komendant szczepu harcerskiego jest jednocześnie opiekunem trzeciego rocznika, czyli trzeciej klasy. Wychowawczynią tej klasy jest małżonka pana kapitana, prowadząca w Liceum zajęcia z WF. W mieszkaniu państwa Pernaków zastajemy uczniów. Widać że są zadomowieni, a z rozmowy wynika, iż plusem tej szkoły są przyjaźnie jakie się nawiązują między wychowankami a opiekunami. I nie może być inaczej, bo przecież poza przedmiotami teoretycznymi podczas każdych wakacji odbywają się obozy tzw. Lotniczego Przysposobienia Wojskowego. W Ułężu, na przykład, zaliczali spadochronowe skoki.

– Ten pierwszy – wspomina Andrzej Szwajca – robiłem w szoku. Tak to można nazwać. Nie było strachu. Nie wiedziałem bowiem co mnie czeka...

Szli w kilkunastu do czekającego „Antka", jak się popularnie nazywa samolot typu AN-2. Niektórzy usiłowali dowcipkować, ale gdzieś od splotu słonecznego rozchodził się dziwny ciężar. Wypierał poczucie humoru, chociaż nie powodował drżenia rąk. Już w samolocie instruktor zaczepiał o przeciągnięty wzdłuż kadłuba stalowy drut – karabińczyki od lin spadochronów. Żartował przy tym, mówił, śmiał się, rozładowywał atmosferę. A potem na wysokości ośmiuset metrów komenda – skok! Stawali w luku drzwi. Pod nimi przepaść. Skakali w tę przepaść. Lina naprężała się, ściągała osłonę spadochronu, wyciągała z opakowania czaszę. Czasza nabierała powietrza. Lekki wstrząs i każdy czuł się przez kilkadziesiąt sekund panem świata, królem przestworzy. Biały żagiel rozpięty nad głową unosił nad polami, które z wysokości kilkuset metrów rozbiegały się w różnokolorową szachownicę. Ale sekundy mijały i ziemia podchodziła coraz bliżej. Nogi lekko ugięte. Stopy razem... Łupnięcie o tę ziemię czuło się w czubku głowy. – Jakbyś bracie skoczył bez niczego z wysokości drugiego piętra... Trzy minuty między niebem a ziemią. Radość z powrotu na nią. Ech, bać się nie ma czego. Tak się wydaje tuż po wylądowaniu, ale przecież jest to przeżycie. A po pierwszym skoku – nie mniejsze.

Tuż po wieczornym apelu kapitan Pernak zwołuje wszystkich nad sadzawkę. Będzie laszowanie. Marynarze mają swoje „chrzty": równikowy, arktyczny, antarktyczny i jakie kto chce. Ludzie powietrza – spadochroniarze, szybownicy, samolociarze – również mają swój „chrzest". Po pierwszym i każdym liczącym się skoku, po pierwszym samodzielnym locie szybowcem czy samolotem, po każdym przejściu na inny typ spadochronu, szybowca, samolotu następuje laszowanie. No więc zbierają się uczniowie i wychowawcy: kapitan, lekarz, pani Pernakowa... (Pani Pernakowa jedyna osoba pełna współczucia w tym gronie). Wszyscy rozbierają się do kąpielówek. Delikwent robi nad wodą prawidłowy skłon. Instruktor moczy rękę w wodzie i... klapsa i... do sadzawki... A dalej, na brzegu czeka tłum wcześniej wylaszowanych na swoją kolej lania... Spadochroniarzy laszuje się dłonią, szybowników drążkiem, albo płozą, samolociarzy drążkiem... Po takim „chrzcie" przez kilka dni ostrożniej się siada, czasem pojękuje przez sen, ale nie być wylaszowanym to obraza... Chociaż, kiedyś, właśnie na obozie w Ułężu dwóch neofitów uciekło. Cały obóz ich ganiał, bo przecież tradycji musiało się stać zadość.

Właśnie te wakacyjne obozy tworzą przyjaźnie. Rok po roku niemal niewidocznie wrasta się w wielką lotniczą rodzinę, a więź wzmacnia się proporcjonalnie do zdobywanej wiedzy i umiejętności. Mijają cztery lata, na rękawie naszyte cztery białe mewki – za każdy rok nauki jedna. Ostatnie wakacje i od połowy września do „Szkoły Orląt". Bez egzaminów wstępnych. Bo Licea Lotnicze w Dęblinie i Zielonej Górze są jedynymi szkołami ponadpodstawowymi, po których idzie się do Wyższej Szkoły Wojsk Lotniczych na podstawie maturalnego świadectwa.

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. **Jacek Łopuszyński**

Jak sobie ułożysz – tak skoczysz...
Większość pomocy naukowych w gabinetach metodycznych wykonywali sami uczniowie. Widoczna makieta lotniska uczy prawidłowego rozkładania startu
Klasa jak klasa, tylko uczniowie w mundurkach, pod sufitem podwieszony model samolotu, a na półkach imitacje różnych rodzajów chmur – niezbędna pomoc do nauki meteorologii

JEDEN Z NAJLEPSZYCH

DLA SIEBIE I INNYCH

● Bar mleczny już jest ● Gaz po 15 latach czekania ● Nieco luźniej w szkołach ● Szpital jednak będzie

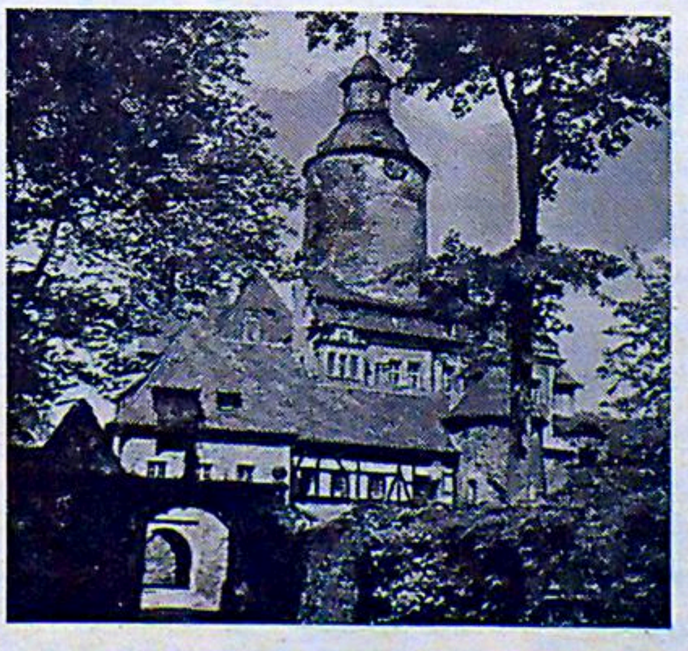

Lubań Śląski. Zamek Chocha – rezydencja Piastów Śląskich położona nad rzeką Kwisą
Fot. **CAF**

To tylko najważniejsze dokonania Obywatelskiego Komitetu Odrodzenia Narodowego w Lubaniu Śląskim. Nic też dziwnego, że lubański OKON uważa się za jeden z najlepiej działających w kraju. Kim są ludzie, którzy podjęli się tej pracy? Zwyczajni obywatele miasta, chociaż może nie zupełnie. Każdy z nich ma w sobie żyłkę społecznikowską, chęć działania, tym bardziej, że bolączek i potrzeb wymagających natychmiastowej interwencji i załatwienia nie brakuje.

Lubań Śląski jest 20-tysięcznym miastem, jakich wiele w naszym kraju. Trudno już dzisiaj nawet powiedzieć, kto pierwszy rzucił pomysł powołania komitetu. Zdaniem wiceprzewodniczącego Henryka Kitlińskiego miejscowi działacze społeczni zebrali się i postanowili zacząć coś robić, bez czekania z założonymi rękami, aż wszystkie problemy nurtujące mieszkańców, załatwią władze miejskie. Zaczęli od spraw, których załatwianie ciągnęło się latami i nie mogło dojść do skutku, pomimo licznych zabiegów i interwencji.

Ot, chociażby kwestia baru mlecznego, w którym można by zjeść tani posiłek. Nie było takiego w całym mieście. Można pomyśleć, iż to żaden problem, prosta sprawa. Ale bar powstał w miejsce restauracji, trzeba więc było wyłożyć racje, udowodnić, że i bar mleczny jest placówką niezbędną w mieście. Udało się to załatwić i mieszkańcy zaczęli nabierać zaufania do komitetu.

– Nie chcemy wyręczać administracji – zastrzegają z góry działacze z Lubania. Pragniemy aby obywatele naszego miasta czuli się gospodarzami tam gdzie mieszkają, bo wówczas wykażą więcej inicjatywy i sami zaproponują zmiany, które ułatwią im życie.

Kolejny problem, jaki postanowiono rozwiązać, to sprawa szkoły. Do Lubania dojeżdża wiele dzieci z okolicznych wiosek. Dziewczęta i chłopcy uczą się na trzy zmiany, a z nowym rokiem szkolnym będzie jeszcze gorzej. W planach na lata przyszłe jest bowiem budowa nowej szkoły na Osiedlu Piastów. Ale żeby kłopot rozwiązać już teraz, postanowiono przejąć pawilon meblowy, który i tak stał pusty. I ta sprawa nie była łatwa. Udało się jednak i ją załatwić.

– W naszej działalności wyznajemy zasadę „pomóż sobie sam" – powiedział działacz komitetu Józef Ostrowski. – Kierując się tą maksymą udało się nam doprowadzić do końca inicjatywę mieszkańców osiedla domków jednorodzinnych przy ulicy Górniczej. Chodziło o instalację gazową w osiedlu. Czekali na tę okazję blisko 15 lat, a dopiero teraz przeciągnięto przewody gazowe. Przez długi czas pewnych barier nie można było pokonać. Dzisiaj wszystkie przeszkody są już poza nami. Część robót mieszkańcy zrobili sami, a resztę pomogły zrealizować władze miasta.

Według słów długoletniego mieszkańca Lubania, Mariana Boho, nie związanego z Obywatelskim Komitetem Odrodzenia Narodowego, ludzie nabrali zaufania do komitetu. Panuje opinia, iż nareszcie powstało coś z prawdziwego zdarzenia, bez odgórnych poleceń. – Przecież oni – mówi Marian Boho – zajęli się nawet sprawiedliwym podziałem paczek przysyłanych z zagranicy w formie darów. Do tej pory różnie z tym bywało. Zdarzały się przypadki, że nieuczciwi podjeżdżali po nie nawet własnymi „Polonezami" pozując na biedaków a później sprzedawali zawartość na targu z olbrzymim zyskiem. Teraz otrzymują je ci co powinni dostać. Działacze OKON uważnie sprawdzają komu się te dary należą. Słuchają co o rozdziale mówią ludzie. Powołano nawet specjalną komisję, która pilnuje aby podział dokonywany był jak najbardziej sprawiedliwie.

Spraw do załatwienia w Lubaniu nie brakuje. Na miejscu każdej załatwionej, pojawiają się następne problemy. Aktualnie najważniejszym zadaniem jest ukończenie rozpoczętej budowy szpitala. Budynek gotowy jest do zakładania instalacji i wyposażenia. Ale kłopoty zaczęły się, kiedy przyszło budować kotłownię i oczyszczalnię ścieków, bez których szpital nie może być oddany do użytku. Komitet jest pośrednikiem między wykonawcą oczyszczalni, a władzami miasta i miejscowym Zespołem Opieki Zdrowotnej. Po ciężkich „bojach" znalazły się materiały i wykonawca obiecał oddać inwestycję w terminie. Działacze komitetu są częstymi gośćmi na tej budowie. Zaglądają tutaj prawie każdego dnia sprawdzając, jak postępują roboty przy budowie oczyszczalni.

Członkowie Obywatelskiego Komitetu Odrodzenia Narodowego, to ludzie znani w Lubaniu od lat ze społecznikowskich działań. Ich przykład oddziałuje pozytywnie na innych. Mieszkańcy powoli nabierają przekonania do tej nowej formy społecznej aktywności. Przychodzą z prośbą o pomoc nie tylko w swoich osobistych kłopotach ale także wtedy, gdy wiedzą, że w mieście źle się dzieje, że marnotrawione jest dobro społeczne.

Dotychczasowa działalność komitetu w tym mieście, świadczy wymownie, iż życie niesie ze sobą zapotrzebowanie na instytucję społecznego działania, która nie wyręczając i nie przeszkadzając administracji i władzom lokalnym w wykonywanych przez nie obowiązkach, byłaby inspiratorem poczynań i w pewnym sensie organem kontrolnym. Nie mniej ważną sprawą jest tutaj także nawiązywanie kontaktów z ludźmi i odbudowa, nadszarpniętych burzliwymi wydarzeniami minionego okresu, więzi społecznych. Tych spraw nie załatwi administracja. To musimy zrobić my sami.

JANUSZ ORŁOWSKI

PAUL NEWMAN
- artysta niejednoznaczny

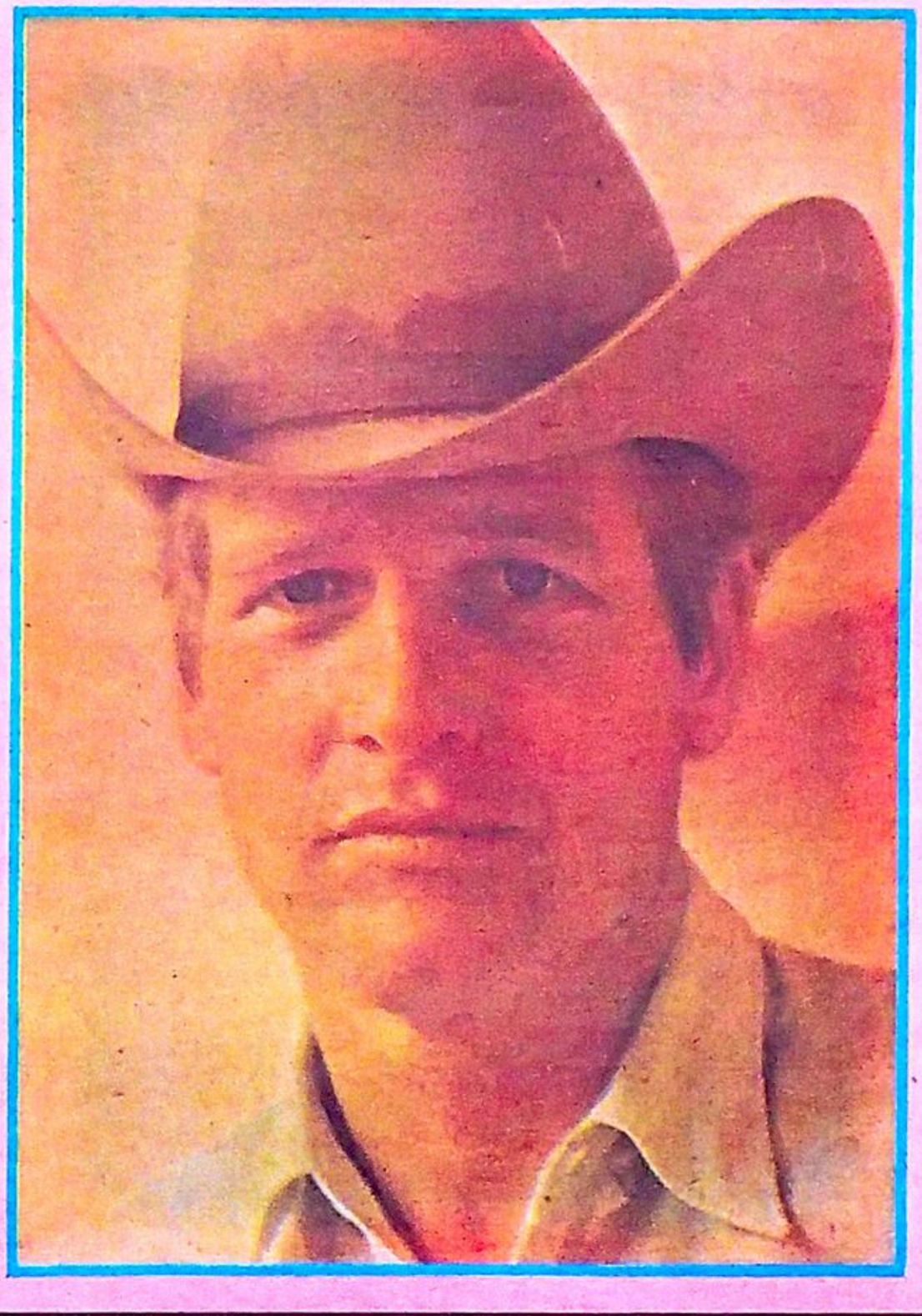

Uczniem tej samej szkoły dramatycznej co Marlon Brando – nowojorskiego Actors Studio – jest Paul Newman. Ze starszym kolegą łączy go nawet pewne podobieństwo sylwetki i upodobanie do metody tzw. fizycznych działań. Do swoich pierwszych westernów (również w jego wypadku te filmy stanowią tylko część twórczego dorobku) wniósł, jak to się określa, nutę niejednoznaczności zachowań. Grywał zresztą postacie o zawiłej moralności, z których wiele miało istniejące pierwowzory w autentycznej historii Dzikiego Zachodu.

W „Przygodach Buffalo Billa" grał głównego bohatera. Buffalo Bill w rzeczywistości nazywał się William Fredric Cody (1846–1919) i był uczestnikiem wojny secesyjnej, przewodnikiem karawan osadników, konnym listonoszem – oczywiście świetnym strzelcem i myśliwym. Był on organizatorem cowboyskiej rewii, z którą w latach 1883–1916 objechał całą kulę ziemską.

Grał też Billy Kida we wczesnym westernie „Rewolwer w lewej ręce", znanym też pod tytułem „Leworęki strzelec". W filmie tym, mszcząc się za śmierć przyjaciela, powoduje nieświadomie cały łańcuch dalszych zabójstw. Autentyczny Kid, czyli Willam Bonney (1859–1881) był głośnym teksaskim bandytą. Na drogę zbrodni wstąpił ponoć mając zaledwie dwanaście lat. Ujął go legendarny Pat Garrett.

W 1963 r. Paul Newman zagrał we współczesnym westernie pt. „Hud, syn farmera". Film ten jest próbą uchwycenia zmian jakie zaszły na Zachodzie od czasów Indian i dyliżansów nie tylko w krajobrazie, ale przede wszystkim w psychice ludzkiej. Wywołały je nowinki techniczne ze Wschodu. Starsze pokolenie starało się żyć według dawnych zasad, pracując na roli, hodując bydło – młodzi bardziej niż na wzorach pracowitości i rzetelności zaczęli polegać na sprycie i gonić za łatwymi sukcesami. Filmowy Hud pragnie szybko wzbogacić się, i to w sposób niewiele mający wspólnego z postępowaniem etycznym. Jego ojcec zaś chce dochować wierności zasadom życiowym swoich przodków. Kategorycznie sprzeciwia się projektowi syna, by sprzedać stado bydła i na pastwiskach rozpocząć wiercenia naftowe. Kiedy wśród bydła wybucha epidemia pryszczycy wydaje się, że Hud w tym konflikcie zwycięży. Chce sprzedać bydło zanim władze sanitarne dowiedzą się o jego chorobie. Złamany nieszczęściem ojciec znajduje jednak siły by przeciwstawić się jego nieuczciwym zamiarom. Serce starego ranczera nie wytrzymuje jednak tragedii jaką jest widok zagłady stada. Umiera. Hud będzie mógł teraz stawiać na pastwiskach swoje wymarzone, nowoczesne szyby naftowe. Współczesność zwycięża tradycję.

Mniej ciekawa, odmienna od wcześniejszych jest kreacja Newmana w filmie „Prawda przeciw prawdzie". Warta natomiast odnotowania jest rola tego aktora w westernie „Hombre" Martina Ritta. Typowe westerny z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych nawet, ukazywały Indian w masie, jako bezmyślnych okrutników i dzikusów. Ale w roku 1950 western Delmera Dawesa „Złamana strzała" rehabilitujący Indian, wywołuje serię filmów, które bronią wyniszczonej praktycznie nacji czerwonoskórych. Film „Hombre" do takich właśnie należy. Wszystkie postacie białych przedstawione w nim są zdecydowanie negatywne; zarówno bandyci napadający na dyliżans jak i jego pasażerowie. Pozytywny jest tylko bohater grany przez Paula Newmana, ale... reprezentuje on właśnie indiańską moralność, jest bowiem wychowany przez Indian.

Bogaty talent pozwolił aktorowi znakomicie wcielić się we wszystkie te role, różnych przecież postaci, przedstawić publiczności postawy moralne skrajnie różne, często odstręczające. Newman nigdy nie bał się ról ludzi złych, unikał po prostu schematyzmu. Dlatego jego nazwisko pada zawsze, gdy wylicza się najlepszych mistrzów westernu. **(eb)**

Fot. **archiwum**

POŻEGNANIE Z WAKACJAMI

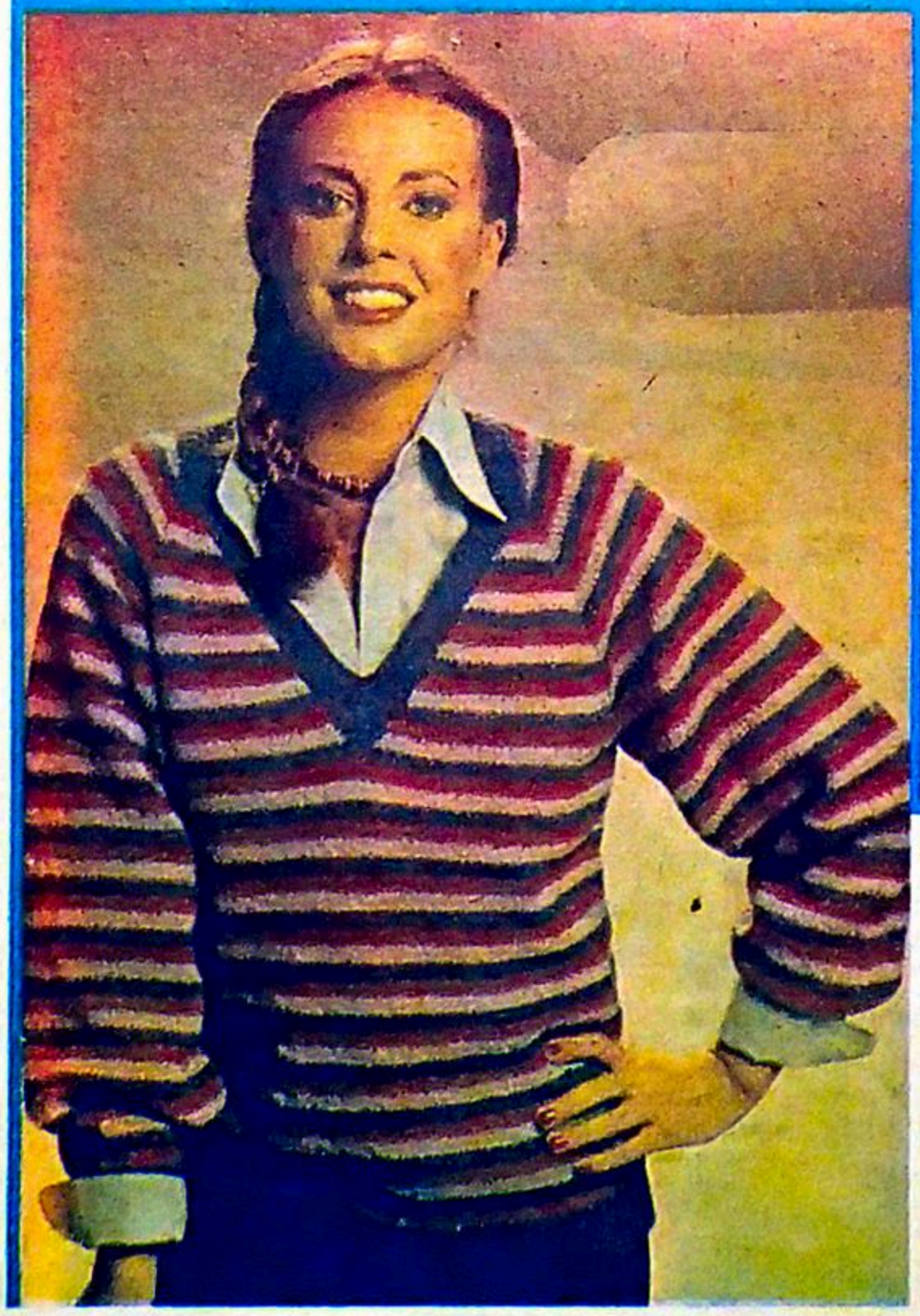

DOM MODY świata młodych

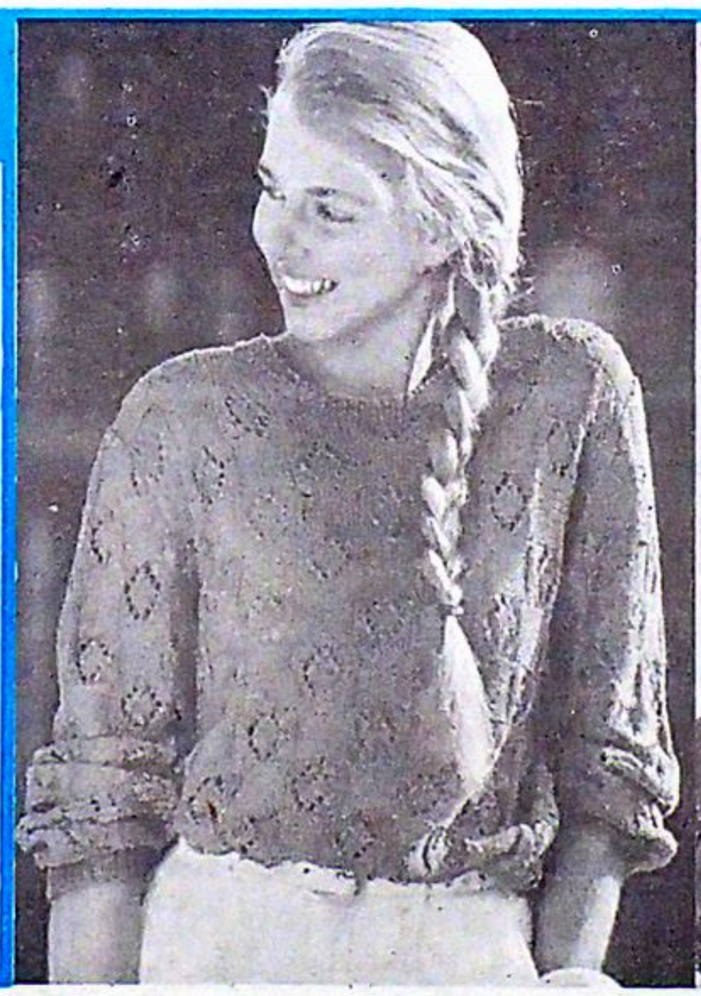

Co prawda jeszcze raz w czasie tegorocznych wakacji się spotkamy, ale to będzie już ostatni ich dzień, a pożegnanie, które chcę Wam zaproponować wymaga odrobiny czasu.

Bo to ma być takie specjalne pożegnanie. Bez łez i westchnień. Pomyślałam sobie bowiem, że warto się z wakacjami pożegnać w sposób jakiś szczególny, w taki, aby człowiek potem przez cały rok szkolny te wakacje z sympatią wspominał. I wymyśliłam, że warto wobec tego te ostatnie wakacyjne dni poświęcić na wykonanie jakiejś „pamiątki z wakacji". Oczywiście mam na myśli pamiątkę ciuchową. Coś takiego, co człowiek będzie przez całą jesień, zimę i wiosnę, aż do przyszłego lata miał na sobie. Różne to mogą być rzeczy. I spodnie, i spódnica, i bluzka... Wydaje mi się jednak, że najpełniej rolę takiej pamiątki spełni ciepły sweter. Bo po pierwsze – nigdy człowiek nie ma za dużo swetrów, a po drugie – sweter się nadaje do noszenia we wszystkie pory roku. Zwłaszcza sweter zakładany przez głowę. Luźny, szeroki. Taki, co można go nosić sam, albo i pięć różnych „cebulkowych" warstw pod niego też wcisnąć.

Myślę, że nie wszystkie z Was, które pomysł niniejszy podchwycą skończą cały duży sweter w ciągu tygodnia. Sądzę, że to nic nie szkodzi. Koncepcja pamiątki z wakacji polega bowiem na tym, żeby dany ciuch zacząć w dni wakacyjnych pożegnań. A skończyć można i potem. Zwłaszcza, że pierwsze tygodnie roku szkolnego są na ogół luźniejsze i można codziennie tę godzinkę na dziergadełka poświęcić. Oczywiście trzeba w tym celu umieć dziergać. Ale to, to już wielokrotnie mówiłam. I wielokrotnie namawiałam Was, że warto się nauczyć. Chociażby... teraz właśnie.

RIUSZKA

A pieśń pozostanie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

działa w szkolnych kółkach zainteresowań, a oprócz „Kukułek" prowadzi jeszcze zespół „Jutrzenki" dla młodszych dzieci.

– Druh ma dla wszystkich czas, tylko nie dla siebie – wtrąca Walentyna – a przy tym, swoim entuzjazmem potrafi zarazić innych.

A jakie były początki zespołu? „Kukułki" powstały w 1972 roku jako zespół harcerski. Jego współzałożycielem był ówczesny dyrektor Aleksander Wiśniewski, kapelą od początku kieruje Eugeniusz Sacharzewski. W czasie dziesięcioletniej działalności „Kukułki" koncertowały kilkaset razy na terenie kraju, wyjeżdżały także za granicę (ZSRR, Belgia i Czechosłowacja).

Zespół zawsze wykorzystywał repertuar oparty o pieśni i tańce regionu podlaskiego. Repertuar ten zdobywali samodzielnie podczas wędrówek i rajdów po regionie. Zgromadzili już kilkaset pieśni i tańców, umieścili w swoim programie kilka obrazów obrzędowych: wesela, darcie pierza, wieczorynki, konopielki.

Do szkolnego klubu etnograficznego należą członkowie zespołu jak i inni uczniowie. Już od kilku lat wyruszają w świat szkolnym ciągnikiem z przyczepą. Kolorowo pomalowana przyczepa przyciąga wzrok, przy ciągniku powiewa zwykle jakieś równie kolorowe hasło. Za ciągnikiem jeżdżą na rowerach uczestnicy rajdu, chętnych jest zawsze wielu.

– Pamiętam, że gdy kiedyś trafiliśmy do małej wioski – opowiada Krzysiek – nie wiedzieliśmy jak zacząć rozmowę. Ktoś wpadł na pomysł, żeby udawać ekipę telewizyjną. Dopiero po przełamaniu pierwszych lodów wyjaśniliśmy, kim jesteśmy i zawarliśmy znajomość z całą osadą. Stamtąd właśnie przywieźliśmy nowy taniec „kontro", który teraz opracowujemy.

Tych wypraw było wiele. Poznawali na nich ludzi: wiejskich muzykantów, kowali, zielarzy. Słuchali pieśni śpiewanych w polu, uczestniczyli w weselach. *„Oj wesele, wesele, jest muzyka i gości wiele"* – nucą dziewczyny. I dalej: *„Wesele na niedzielę, a smutku aż do skutku"*.

– Z naszych rajdów przywozimy nie tylko repertuar i ludowe stroje, chustki, zapaski, ale też i nowe przyjaźnie. W Ciechanowcu mieszka nasza najstarsza znajoma 76-letnia pani Marciniak, dzięki której poznaliśmy niejedną zapomnianą już przyśpiewkę – opowiadają dziewczęta i chłopcy z zespołu.

Niedawno na terenie szkoły klub zorganizował wystawę pod hasłem „Kobieta na wsi". Przedstawione na niej eksponaty są plonem wspomnianych wypraw i kontaktów z rodziną wiejską. Po wystawie wszystkie te dzieże, kołowrotki, krosna i kołyski wróciły do właścicieli i są nadal używane.

Zarówno ta wystawa, jak i poprzednie powstały z inicjatywy druha Michała, człowieka o niespożytej energii. Aż ciśnie się na usta pytanie, czy nie jest zmęczony takim tempem swojego życia.

– Nie zastanawiałem się nad tym, ale myślę, że bardziej jest zmęczony ten, kto nie lubi tego co robi. Ja to lubię i nie zapominam, skąd się wywodzę. Dla mnie i moich wychowanków tradycje kulturowe to coś więcej niż ciekawostki etniczne. Przez całe wieki podania i pieśni żyły wśród ludu, przekazywano je z pokolenia na pokolenie. Dzisiaj tradycja zanika, wieś traci to, co najcenniejsze, trzeba więc ludziom przypominać korzenie kultury. My przeminiemy, ale pieśń pozostanie.

„Kto się wstydzi starych pieśni
dawnych zwyczajów i strojów
nie wart stąpać po swych niwach
pić wodę ze swych zdrojów".

GRAŻYNA KIN

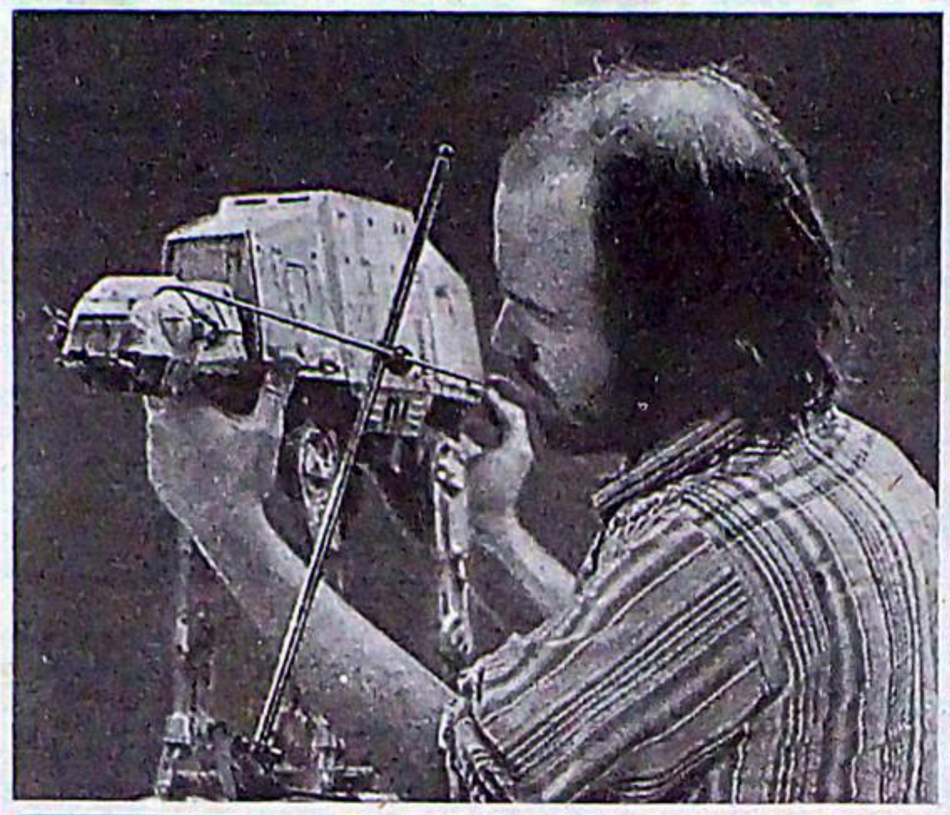

Uwaga, Nikodem Miranowicz

– opracowanie Twoje dotyczące ruchu w kosmosie jest interesujące, ale zapomniałeś chyba dołączyć do listu rysunków, o których wspominasz w tekście. Czekam więc na uzupełnienie.

Często otrzymuję pytania – co należy zrobić aby „należeć" do TOMIKA. Z takim pytaniem m.in. zwrócił się Piotr Gawęcki

Odpowiadam: TOMIK nie jest żadną instytucją, która przyjmuje członków. Do TOMIKA nie należy się, ale z TOMIKIEM współpracuje. Polega to na współredagowaniu kącika astronautyczno-astronomicznego poprzez nadsyłanie swoich artykułów. To wszystko.

PREZES

Kiedy oglądamy niezwykłe sceny z filmów fantastyczno-naukowych zadajemy sobie pytanie, jak oni to zrobili? Tak też pewno będzie z „The Empire Strikes Back", czyli z „Imperium kontratakuje". Zdjęcie zamieszczone na str. 1 przedstawia śniegołazy w akcji szturmu. Potwory te to dzieło modelarzy i wprawione są w ruch... ręcznie. Każdą odmierzoną fazę kroku filmuje się kadr po kadrze. Natomiast płomienie rakiet powstają na osobnym odcinku filmu, a następnie kopiowane wspólnie z kadrami szturmu śniegołazów. A więc cudów wielkich nie ma, chociaż ostateczny efekt jest imponujący.

Na zdjęciu widać wielkość „potwora", który w rzeczywistości jest niewinną zabawką

Fot. „Ameryka"

RECENZJE TOMIKA

Czekając na Kontratak Imperium

Sukcesy filmów „Gwiezdne wojny" i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" spowodowały znaczne zwiększenie zainteresowania filmami fantastyczno-naukowymi, i to zarówno wśród widzów jak i producentów filmowych. Na ekrany kin w Stanach Zjednoczonych w 1979 roku weszło kilkadziesiąt filmów tego gatunku. I mimo że w roku ubiegłym nie pojawił się żaden film na miarę Spielberga czy Lucasa krytycy uznali rok ubiegły za najbardziej korzystny dla fantastyki.

„Saturn 3" jest jednym z kilku filmów s-f, które zostały ukończone w ostatnim okresie i obok filmów „Czarna dziura" i „Meteor" stanowi wedle ocen krytyki jeden z najlepszych filmów s-f ostatniego roku. Niemniej jednak popularność tych filmów będzie zapewne krótka, ponieważ obecnie kończy się produkcja nowego giganta fantastyczno-naukowego. Jego wejście na ekrany będzie bez wątpienia wydarzeniem roku w fantastyce naukowej i odsunie w cień wszystkie inne filmy tego gatunku, wyświetlane na ekranach kin amerykańskich. Filmem tym jest „The Empire Strikes Back!", co w wolnym tłumaczeniu oznacza „Imperium kontratakuje", zrealizowany w wytwórni 20th Century Fox i będzie dalszym ciągiem „Gwiezdnych wojen". Jeśli wierzyć zapewnieniom przedstawicieli wytwórni, film ten ma być o całą klasę lepszy od filmu Lucasa.

Kosmiczna sensacja

Książki traktujące o przygodach rodzaju ludzkiego w podróżach kosmicznych czy przyszłości cieszą się ciągle nie słabnącym powodzeniem. Dotyczy to tak samo filozoficznego i refleksyjnego spojrzenia na niezmienność natury ludzkiej przez pryzmat nieznanych wieków przyszłych jak i sensacyjnych przygód, okraszających zadumę nad istotą człowieka – zarozumiałego zwierzęcia ziemskiego. Literatura zwaną science fiction, czyli w dowolnym tłumaczeniu – fikcyjno-literackich wyobrażeń o postępie wiedzy i techniki za setki czy tysiące lat, wymaga od autorów wyobraźni. Umiejętności stworzenia na kartach książki takich warunków postępu nauki i techniki, abyśmy – ludzie okresu elektryczności, atomu i cybernetyki, pogrążeni po uszy w kryzysie – uwierzyli, że wizja zautomatyzowanej, skomputeryzowanej, szczęśliwej przyszłości jest prawdziwa.

Czesław Białczyński w swej kolejnej, drugiej książce z tegoż gatunku umiejętność tę opanował w stopniu gwarantującym powodzenie wśród czytelników. „Zakaz wjazdu" obfituje we wszystkie klasyczne rozwiązania literatury lokującej miejsce akcji na szlakach kosmicznych i na planetach niewiarygodnie odległych od Ziemi i naszej dzisiejszej szarej egzystencji. W książce jest starannie dawkowane napięcie, tajemnicze niebezpieczeństwo powodujące transformacje nie tylko charakterologiczne, ale... stop. Nie wypada przed lekturą zdradzać fabuły i zakończenia. Pozycja ta, mając wszelkie walory wartkiej narracji i akcji w kosmosie, zawiera niewiarygodną sugestię, że oto zdołano wychować ród ludzki bez agresji, brutalności, przemocy, za to pełen łagodności i dobroci. Nawet pobieżna lektura zmusza do zastanowienia się, czy po wielu latach triumfalnego pochodu powieści tego gatunku nie powstał swoisty klasyczny kanon, rządzący zasadami fabuły i akcji dramatycznej. Czy nie doczekaliśmy się chwili, w której powieść s-f nie została wydźwignięta na pewien klasyczny piedestał, gdzie wzory i zasady są niepodważalne. Szczególnie jeśli dotyczą wątku sensacyjnego w tym gatunku.

Czesław Białczyński „Zakaz wjazdu" W-wa 1981 Wyd. „Iskry" Nakł. 30 tys. egz. Str. 179. Cena 30 zł.

Oprócz powyżej przedstawionej książki pragnę zarekomendować książkę Ryszarda Dominiaka „Tenegera 3 wzywa SOS". Jest ona powieścią, w której autor wyraża przekonanie, że nie kontrolowany rozwój cywilizacji stanowi zagrożenie dla ludzkości, a jednocześnie wskazuje na te wartości i postawy moralne, które mogą stać się siłą zapobiegającą katastrofie.

Ryszard Dominiak „Tenegera 3 wzywa SOS", Łódź 1980 WYD. ŁÓDZKIE, Nakład 50 000 + 350 egz., str. 168. Cena 25 zł.

Wojciech Gargula

TAJEMNICE POŁUDNIOWEJ PÓŁKULI NIEBA

10 lat temu naukowcy brytyjscy i australijscy rozpoczęli współpracę przy konstrukcji nowego, wielkiego teleskopu w Australii. W owym czasie wszystkie duże teleskopy znajdowały się jedynie na półkuli północnej; nic więc dziwnego, że astronomowie stosunkowo niewiele wiedzieli o gwiazdach i galaktykach nieba południowego. A właśnie na południu widać centralne partie Drogi Mlecznej, jak również możliwe jest tam przeprowadzenie badań szczegółowych Obłoków Magellana. Widoczne gołym okiem jako zamglone plamy świetlne, galaktyki te są położone najbliżej naszej Drogi Mlecznej. Poza tymi zbiorowiskami gwiazd położonymi najbliżej Ziemi, istnieją miliony galaktyk czekających na sfotografowanie, skatalogowanie i zbadanie. Teleskop angielsko-australijski rozpoczął pracę w roku 1974 na szczycie Siding Spring w górskim paśmie Warrumbungle. Zwierciadło teleskopu jest czwarte co do wielkości na świecie – średnica jego wynosi 390 cm.

Dzięki temu teleskopowi dokonano wielu odkryć. Najważniejszym z nich było wykrycie słabych błysków światła pulsara w konstelacji Vela. Pulsar jest pozostałością gwiazdy, która eksplodowała wiele lat temu. Chociaż radioastronomowie stwierdzili istnienie około setki takich pulsarów, dotychczas udało się zaobserwować optycznie tylko jeden. Znajduje się on w Mgławicy Krab – gazowej pozostałości gwiazdy, która wybuchła w roku 1054. Teraz astronomowie w ośrodku Siding Spring zobaczyli pulsar Vela. Jest on nie tylko znacznie słabszy niż pulsar w Mgławicy Krab, ale jest również najsłabszym ciałem niebieskim dotychczas zarejestrowanym. Prawdopodobnie dopóty nie ujrzymy innych pulsarów, dopóki olbrzymie teleskopy nie zostaną umieszczone w przestrzeni kosmicznej. Wiele czasu poświęcono również poszukiwaniom i badaniu setek kwazarów. Dokonuje się również szczegółowych badań Obłoków Magellana, co umożliwi rozszyfrowanie historii formowania gwiazd i ewolucji galaktyk. Urządzenia tego typu przesuwają granice poznania naszego wszechświata w tempie dotychczas nieznanym. Bowiem nasze wyobrażenia o wszechświecie – spokojnie wirujących galaktykach i zbiorowiskach gwiazd – zostało zakłócone odkryciem zjawisk o wysokiej energii; kwazarów, pulsarów, czarnych dziur i eksplodujących galaktyk, które stają się teraz przedmiotem drobiazgowych badań astronomów i budzą szerokie zainteresowanie nas wszystkich.

Tomasz Samorzewski

CO JEST ZA ORBITĄ NEPTUNA?

Astronomowie badający pas asteroidów, znajdujący się między Marsem a Jowiszem doszli do wniosku, że w naszym systemie słonecznym znajduje się więcej takich skupisk asteroidów. Występują one na peryferiach naszego systemu słonecznego – daleko poza orbitą Neptuna. Wnioski o istnieniu takich odległych pasów asteroidów powstały w wyniku obserwacji nowego modelu tworzenia się systemów planetarnych. W przeszłości system słoneczny był obłokiem gazopyłowym, który stopniowo ulegał zgęszczeniu. Jeśli proces zgęszczenia pod wpływem sił grawitacyjnych następuje skokami, to obok wielkich planet pojawiają się również drobne asteroidy. Są one jak gdyby odpadami materii – pozostałymi przy formowaniu się wielkich planet. Takie zjawisko wystąpiło po utworzeniu się planety Neptun.

W przestrzeni kosmicznej, poza Neptunem, znajdują się zdaniem astronomów trzy pasy asteroidów. Pierwszy z nich jest położony w odległości 52 jednostek astronomicznych (jednostka astronomiczna – odległość Ziemi od Słońca). Drugi pas znajduje się w odległości 85 jednostek astronomicznych, a trzeci – 148 jednostek astronomicznych od Neptuna. Przypuszcza się, że w pierwszym pasie asteroidów znajdują się okruchy skalne o łącznej masie 20–30 razy większej od masy Ziemi. Asteroidy mogą zbliżać się do orbity Neptuna, co powoduje zmiany w ruchu tej planety. Jednocześnie Neptun oddziałuje na drobne asteroidy, ściągając je z pierwotnych orbit. Przypuszcza się, że planeta Pluton może być asteroidem ściągniętym przez Neptuna. Pluton jest jedną z najmniejszych planet w naszym układzie i nie pasuje do swoich gigantycznych sąsiadów – Neptuna, Urana, Saturna, Jowisza.

razu nie odwiedziła chłopca, chociaż od początku o niego pytała. Ale ani razu nie odwiedziła, zadowalając się wieściami od jego babki. Babka przyjechała chyba w pięć dni po wypadku, może w tydzień. Usiadła przy chłopcu i nie próbowała do niego mówić, a chłopiec uśmiechał się do niej i też nic nie mówił, a później próbował oddać Ewie jakąś bursztynową kulkę czy raczej jajko, żeby zatrzymała to albo przekazała dalej. Odpowiedziała mu żartem, że nie jest dość dobrym człowiekiem, by nosić talizmany. Trzeba znaleźć kogoś innego, tak mu powiedziała, a chłopiec po namyśle przytaknął, ale chyba nie uwierzył, że Ewa nie jest dość dobrym człowiekiem, nie o to chodziło. Przywiązywał dużą wagę do tej kulki.

Znaleziono go z nią. Leżał na trawie, oszołomiony raczej niż nieprzytomny, bo kiedy go podnoszono, próbował pomóc sanitariuszom, podciągnął pod siebie nogi i wsparł dłonie na ich ramionach, a wtedy z jednej z nich wysunął się bursztyn, chłopiec z całych sił próbował go złapać, i wtedy zemdlał. Wzięła ten bursztyn, położyła obok niego na noszach, a potem, już w karetce, schowała do kieszeni – postanowiła mu go dać, kiedy się ocknie.

Nieprzytomny był przez kilka godzin. Przez ten czas uporządkowano rzeczy, spisano je i odniesiono do magazynu, zostawiając czerwony szlafrok, chyba należał do chłopca, bo kobieta, która prowadziła samochód, i którą przywieziono do szpitala, miała jeszcze inne, dwa, jedwabny, zielony, i granatowy frotee.

Czerwony musiał należeć do chłopca, przyniesiono go do jego łóżka, i chłopiec, kiedy odzyskał przytomność, nie, kiedy mógł już chodzić, nie protestował, włożył go i w miarę, jak mu sił przybywało, snuł się w nim po korytarzu jak jakiś mały książę, a bursztyn trzymał zawsze przy sobie, w kieszeni, i chętnie go dotykał, ale jednak oddawał też innym, próbował oddawać, naprawdę przywiązywał wielką wagę do tego bursztynu.

Tamta kobieta leżała na innym oddziale, ale ciągle wypytywała o chłopca, chociaż chłopiec nic o niej nie mówił. Kazała zawiadomić babcię chłopca, tak powiedziała, zawiadomcie jego babcię, i podała adres, a później co rano – tak opowiadała koleżanka Ewy – kiedy się obudziła, pytała, czy babcia przyjechała i jak się chłopiec ma. Potem czytała, pożyczając książki od innych pacjentek, a po paru dniach, kiedy mogła chodzić, nadal nie podnosiła się z łóżka, jakby nie miała sił do chodzenia, a może chęci.

Później przyjechała babcia chłopca i odwiedziła go, milczeli oboje uśmiechając się, chłopiec, Ewa widziała to, bo akurat przyszła do pacjentów z termometrami, delikatnie ściskał palce babci. Nic nie mówili. Następnego dnia chłopiec zaczął więcej chodzić i próbował oddać czy też pożyczyć bursztyn, a wreszcie powiedział Ewie, że jemu niepotrzebny, niech ktoś go ma, ale zgodził się, że Ewa nie musi go mieć.

Chociaż ten bursztyn czy talizman podobał się jej, był ładny, ale nie mogła przyjąć czegoś takiego, drogi przedmiot, to by nieładnie wyglądało brać cacko od małego chłopca. Powiedziała, że nie jest dość dobra, by to mieć. I on może uwierzył.

A tamta kobieta w dniu przyjazdu babci chłopca znów spytała, jak długo on będzie się jeszcze leczył, okazała niezadowolenie, kiedy powiedziano, że pobędzie w szpitalu około dziesięciu dni, oświadczyła, że wobec tego przeniesie się do hotelu, jest już zdrowa, prawda?

– Trzymaliśmy panią tylko ze względu na dziecko – powiedział dyrektor. Nie wiedział, że ona chłopca ani razu nie widziała.

Chłopiec nie pytał o nią, może nie wiedział, że ona tu jest, ale kiedy Ewa wspomniała, że mógłby przecież przejść się trochę dalej i odwiedzić ją, powiedział, że jego mama nie żyje.

– Żyje.

– Nie żyje. Był wypadek – powiedział chłopiec. – Przecież pani wie.

Nie próbowała mu przypominać okoliczności wypadku.

– Żyje – powtórzyła. – Czuje się dobrze i jest prawie zdrowa.

– Nie trzeba mnie pocieszać – burknął chłopiec.

Ewa usiadła obok niego, ale w tej chwili zawołano ją, któraś z pacjentek poczuła się gorzej, a kiedy wróciła, chłopiec spał. A może udawał. Pochyliła się nad nim i dostrzegła drgające powieki, może nie chciał rozmawiać.

Następnego dnia znalazła go na tarasie, rozglądał się po dachach miasta.

Cdn.

TROJACZKI BENNETA

BIWOBKI kowboje

TEKST i RYSUNKI: JERZY WRÓBLEWSKI

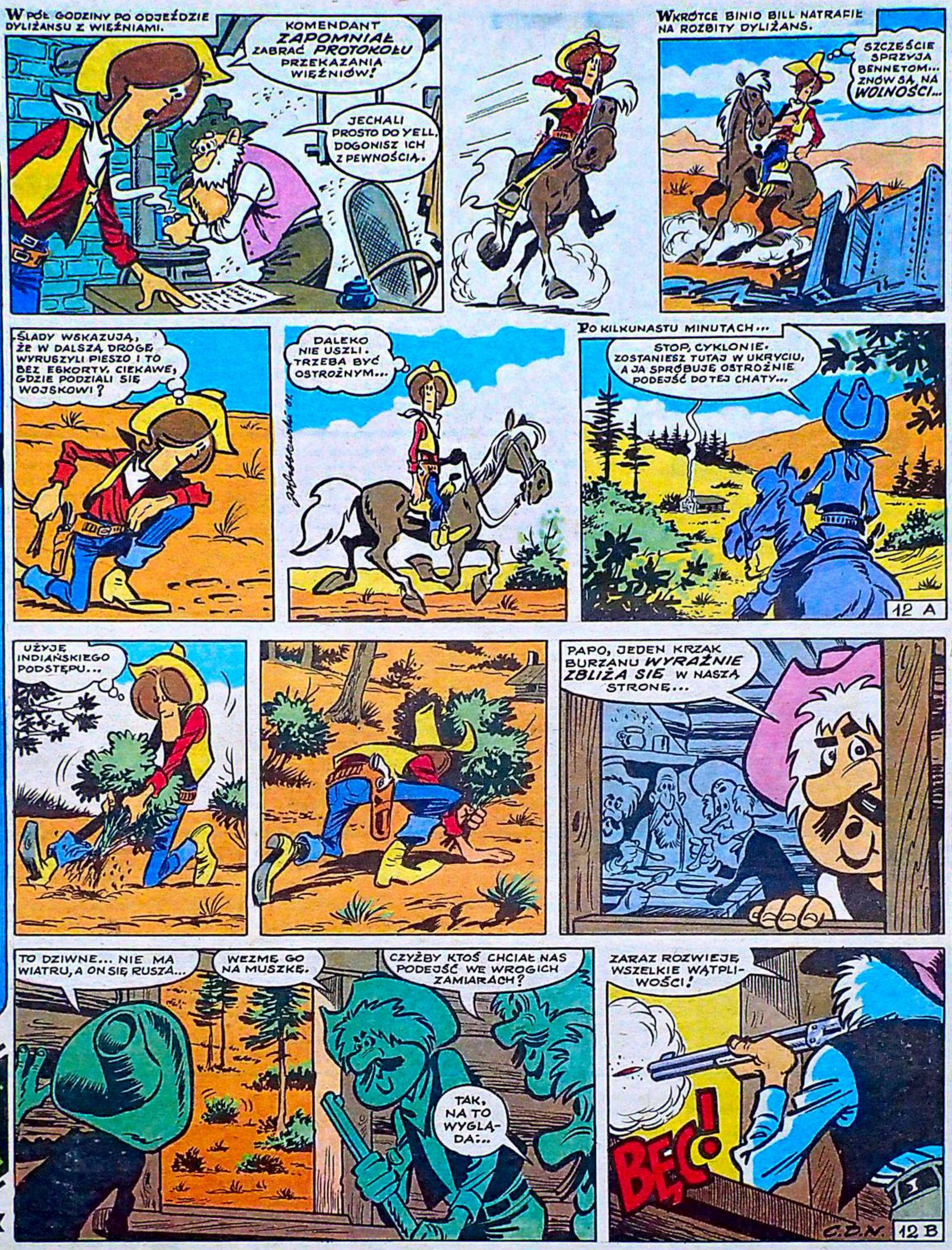

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3517/G. Z-29

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– TATO, POBIŁEM szkolny rekord w skoku w dal!

– Ty łobuzie, kiedy wreszcie przestaniesz z tym biciem?!

*

MAREK WRACA do domu z zalzawionymi oczami, blady...

– Co znowu było? – pyta matka.

– Bawiliście się w Apaczów i stałeś przy palu męczarni?

– Nieee... dziś paliliśmy fajkę pokoju...

Odeszła od okna, w lustrze mignęła blada twarz, obramiona kosmykami ciemnych włosów, które wyślizgnęły się spod czepka.

Dyrektor powiedział kiedyś, że włosy powinny być krótkie, wtedy nie przeszkadzają, i znów leciutko, ledwie muskając, dotknął swej skroni, na której srebrzyły się pasma sięgające przez sklepienie czaszki aż do drugiej skroni, przyłapał jej spojrzenie, uśmiechnął się i przymknął na chwilę oczy.

– Ja wiem – powiedział. – Za bardzo dbam o siebie? Ale ludzie nie ufają łysym. I lekarz, a przynajmniej dyrektor szpitala, jest trochę jak aktor, musi odpowiednio wyglądać w kontakcie z pacjentami, a szczególnie z członkami ich rodzin.

Teraz dyrektor, wezwany rano z domu, po raz kolejny tłumaczy, jak mogło się stać, że zniknął ze szpitala mały chłopiec, i po raz kolejny wyjaśnia, że pielęgniarka nie jest winna, lekarz dyżurny też nie, portiera nie było, bo zachorował, nie udało się znaleźć zastępstwa, i nie wiem, jak mam to zrobić, żeby pilnować chorych, przecież są wolne etaty, a ludzie nie przychodzą do pracy.

– Niech pan spojrzy na jej ręce – powiedział do milicjanta w cywilu, który usiłował znaleźć i chłopca, i winnych jego ucieczki, a pielęgniarka szybko schowała dłonie za plecami. Lakier był zakazany.

– Siostra Ewa, dwadzieścia lat, powinna się stroić i myśleć o fryzjerze, a kiedy pani była u fryzjera? – pytał dyrektor.

– Nie pamiętam – powiedziała.

– Nie pamięta – zwrócił się do milicjanta. – A ile pani miała nocnych dyżurów w ostatnim miesiącu?

– Czternaście.

– Czternaście – powtórzył dyrektor. – I ile razy potem została pani na dzień?

– Prawie zawsze.

– Prawie zawsze – powtórzył znów. – Więc niech pan mi nie mówi o opieszałości personelu. Dajcie mi ludzi, a mysz się nie prześliźnie.

– Ja? – zdumiał się milicjant.

– A czemu nie pan?

– Nas też jest mało. My też pracujemy za długo i...

– No więc niech pan mi nie mówi o zaniedbaniach – mruknął dyrektor i zwrócił się do siostry Ewy. – Niech pani idzie do domu i porządnie odpocznie. Pani nie zawiniła. Niech pani spokojnie wraca do domu.

Mrugnął do niej.

– I do fryzjera niech pani zajrzy. Ale krótko się ostrzyc, krótko.

Wróciwszy do swojego pokoju, jeszcze na coś czekała. Wąska kozetka, na której rano zasiadły te dwie kobiety i powiedziały, że się nie ruszą, póki chłopiec się nie znajdzie, ciągle przyciągała jej wzrok: leżał na niej czerwony szlafrok, duży, może dopiero teraz, kiedy chłopiec nie miał go na sobie, dopiero teraz ujawniał, jak duży był naprawdę, nie mógł nigdy należeć do chłopca, ale chłopiec, kiedy mu go przynieśli, włożył go natychmiast i nie powiedział ani słowa, otulając się i zaciągając pasek. Uznano, że taki właśnie miał szlafrok, za duży, za długi przede wszystkim, ciągnący się za nim po ziemi.

Młodsza z kobiet spytała:

– Co tu robi mój szlafrok?

Dopiero wtedy Ewa uświadomiła sobie, że młoda kobieta ani

Dokończenie na str. 7